



*Barbara Hannay*



*Taniec z drużbą*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nad obozem powoli zapadał zmierzch. Mark Winchester odszedł parę kroków na bok i utkwił spojrzenie w porośniętej trawą równinie ciągnącej się aż do widocznych w oddali czerwonych wzgórz.

Mężczyźni przy ognisku nie pytali, co go trapi. Bądź co bądź był ich szefem, właścicielem posiadłości Coolabah Waters, człowiekiem skrytym, który nie opowiada wszem wobec o swoich kłopotach.

Wsunął ręce do kieszeni. Całe szczęście, że podwładni nie domyślali się, że duma o kobiecie. Ledwo sam w to wierzył. Organizował pierwszy spęd bydła na nowej farmie i zamiast koncentrować się na robocie, bez przerwy wracał myślami do dziewczyny, którą sześć tygodni temu poznał w Londynie.

Dotychczas jego życie obracało się wokół biznesu związanego ze stale powiększającą się hodowlą bydła. Kobiety, które spotykał na przyjęciach, wyścigach lub podczas wypraw do miasta stanowiły miły, choć nic nieznaczący przerywnik w pracy. Jednakże o Sophie Felsham nie potrafił zapomnieć.

Teraz też, po ciężkim dniu, gdy spoglądał na ciemniejące niebo, na spieczone słońcem połacie ziemi i rdzawe wzgórza, oczami wyobraźni widział Sophie.

Szła nawą ubrana w zwiewną bladoróżową suknię, trzymając bukiet różowych kwiatów. Miała lśniące szare oczy, prześliczny uśmiech, cerę gładką i mleczną niczym tarcza księżyca.

Spędzili z sobą tylko jedną noc, a potem się rozstali, zupełnie jakby wspaniała, pełna żaru i namiętności noc z obcym człowiekiem była dla nich obojga czymś na porządku dziennym.

Nazajutrz Mark wrócił do Australii. Bez czułych pożegnań, bez obietnicy ponownego spotkania. Oboje mieli świadomość, że jakikolwiek dalszy ciąg jest bez sensu.

I tak powinno być. Powinien puścić wszystko w niepamięć, a nie wspominać każdy dotyk, każde spojrzenie.

- Hej, szefie!

Wyrwany z zadumy obrócił się.

- Do ciebie! - zawołał podnieconym głosem młody kowboj, wymachując telefonem satelitarnym. - Jakaś kobieta! Z angielskim akcentem!

Mark poderwał głowę. Po obozowisku przeszedł szmer zaciekawienia. Rozmowy przy ognisku ucichły, chłopak naprawiający siodło znieruchomiał z igłą zawieszoną w powietrzu.

Wiedział, co myślą: czego, na Boga, może chcieć od niego jakaś Angielka?

Sam sobie zadawał to pytanie.

Wziął głęboki oddech. Wystarczyło, że w jednym zdaniu usłyszał kombinację słów „kobieta” i „angielski akcent”, aby zaczęła buzować w nim adrenalina.

Ale przecież Sophie nie mogła do niego dzwonić. Jediną osobą w Anglii, która zna jego numer satelitarny, jest Tim, a Tim dobrze wie, że z tym numerem wolno się łączyć tylko w bardzo ważnych sprawach.

Jeżeli więc dzwoni kobieta z angielskim akcentem, musi to być żona Tima, Emma. Mark poleciał do Anglii na ich ślub, był drużbą. Tydzień temu dostał mejla od szczęśliwych nowożeńców z wiadomością, że właśnie wrócili z podróży poślubnej. Cóż więc złego mogło się stać?

Mark z kamienną miną patrzył, jak przejęty młodzieniec pędzi w jego kierunku, dzierżąc w górze telefon niczym znicz olimpijski.

Tak, Emma zadzwoniłaby tylko wtedy, gdyby wydarzyła się tragedia. Z ciężkim sercem wyciągnął rękę po słuchawkę.

Młodzieniec poruszył zabawnie brwiami.

- Kobitka ma ładny głos. Ale akcent z wyższych sfer.

Mark uciszył go lodowatym wzrokiem, takie samo spojrzenie posłał mężczyznom przy ognisku, po czym odwrócił się twarzą do zagród, w których stały setki zmęczonych zakurzonych krów.

W obozie nastała cisza przerywana jedynie niskim odgłosem prychania oraz śpiewem tańczących w oddali żurawi.

Przyłożywszy telefon do ucha, Mark usłyszał trzaski w słuchawce. Przełknął ślinę i wyprostował ramiona.

- Mark Winchester, słucham.

- Halo? - Kobieta na drugim końcu linii wydawała się zdenerwowana. - Chciałam mówić z Markiem Winchesterem.

Połączenie było kiepskie. Czyżby bateria siadała?

- Tak, tu Mark. To ty, Emmo?

- Nie, to nie Emma.

Nie Emma? Zmarszczył czoło.

- To Sophie. Sophie Felsham.

O mało nie upuścił słuchawki. Ponownie przełknął ślinę; nie pomogło. Gardło miał ściśnięte, serce waliło mu młotem.

- Pewnie nie spodziewałeś się, że zadzwonię...

Zerknął przez ramię na mężczyzn przy ognisku; ci pośpiesznie odwrócili wzrok. Wiedział, że nadstawiają uszu, próbując uchwycić każde słowo. Nic dziwnego; podczas spędu niewiele się dzieje.

Powstrzymując odruch, by wskoczyć na konia i popędzić w stronę gór, Mark wolnym krokiem oddalił się od grupki przy ognisku. Żwir skrzypiał mu pod nogami, na szczęście trzaski w słuchawce ustały.

- Sophie? Co za miła niespodzianka. Wszystko u ciebie w porządku?

- Nie całkiem.

Poczuł, jak żelazna obręcz zaciska mu się wokół piersi.

- Chyba nic złego nie przydarzyło się Emmie i Timowi?

- Och, nie - zapewniła go pośpiesznie. - Emma z Timem czują się świetnie, ale... mam nienajlepsze wieści, Mark. Przynajmniej sędzę, że ci się nie spodobają.

Ciekawe dlaczego? Przeszły go ciarki.

Słońce opadało za górami, zabarwiając niebo na czerwono. Oczami wyobraźni Mark ujrzał Sophie: jej śliczną twarz w kształcie serca okoloną burzą lśniących czarnych loków, szare oczy o zatroskanym spojrzeniu, brodę, która zaczyna drzeć, szczupłe palce zaciśnięte na słuchawce.

- Co się stało? Mów.

- Jestem w ciąży.

Zamarł. Strużka potu pociekła mu po plecach.

- Mark, przepraszam. Ja... - załkała.

Przymknąwszy powieki, wziął głęboki oddech. Nie wiedział, co powiedzieć. Za jego plecami rozległ się krzyk: „Kolacja gotowa!”. Mężczyźni wstali od ogniska. W powietrzu znów niosły się rozmowy, szuranie butami, brzęk sztućców, wybuchy śmiechu.

Ostatni rąbek krwistoczerwonego słońca szybko zniknął za horyzontem. Dookoła rozciągały się czerwono-złote równiny, które hen w oddali przechodziły we wzgórza. Wiatr przyginał trawę, sprawiając, że blaszany dach na wozie kucharza łomotał głośno. Trzepocząc skrzydłami, stado białych kakadu przeleciało nad głową.

Tu, w australijskim buszu, życie toczyło się swoim normalnym rytmem, podczas gdy w Anglii pewna urocza dziewczyna płacze do słuchawki.

- Nie rozumiem - szepnął Mark, jeszcze bardziej oddalając się od obozowiska. - Przecież się zabezpieczyliśmy.

- Wiem. - Sophie pociągnęła nosem. - Najwyraźniej zabezpieczenie nie zadziałało.

Na myśl, że w dniu ślubu swojego przyjaciela poczęł dziecko z piękną druzną, zakręciło mu się w głowie.

- Jesteś pewna? Nie może być mowy o pomyłce? - spytał oszołomiony.

- Byłam wczoraj u lekarza.

Chciał spytać, jaką ma gwarancję, że to jego dziecko, ale dziewczyna była tak przejęta, że nie potrafił się na to zdobyć.

- A jak... jak się czujesz? Dbasz o siebie?

- Staram się.

- Czy miałaś okazję...

Na linii znów pojawiły się trzaski. Sophie coś mówiła, lecz on nie był w stanie nic zrozumieć.

- Przepraszam. Nie słyszę!

Kolejne trzaski. Mark przeszedł w inne miejsce, poruszył słuchawką. Dobiegły go urwane słowa:

- ...przylecieć. No wiesz, żeby pogadać.

Zmarszczył czoło i rozejrzał się wokół. Czy dobrze słyszy? Że Sophie chce przylecieć na to australijskie pustkowie?

- Posłuchaj, jestem teraz na spędzie. Potrwa to jeszcze tydzień. Zadzwoń do ciebie natychmiast po powrocie do domu. I wtedy uzgodnimy, co i jak.

Nie był pewien, czy trzaski nie zakłóciły jego słów. Po chwili w słuchawce rozległ się ciągły sygnał.

Mark zaklął pod nosem. Kto, do cholery, zapomniał naładować baterię w telefonie? Jeszcze Sophie pomyśli, że specjalnie próbuje się wymigać od rozmowy o dziecku.

Niebo powoli przybierało kolor granatu.

Przy drzewach nad strumykiem zabrzmiał śpiew cykad. Zrobiło się chłodno, jak zawsze w tych stronach po zapadnięciu zmroku. Mark zadrżał, ale nie z zimna.

Dziecko. Zostanie ojcem.

Ponownie ujrzał przed oczami śliczną uwodzicielską Sophie o figlarnym spojrzeniu, jasnej jedwabistej skórze i promiennym uśmiechu. Sophie, która tak namiętnie odwzajemniała jego pocałunki.

I ta młoda, tryskająca energią dziewczyna zostanie mamą. Podejrzewał, że macierzyństwo jest ostatnią rzeczą, o jakiej marzy. Potrząsnął głową, po czym kopnął leżący na suchej ziemi kamyk. Powracające wspomnienia o uroczej dziewczynie mieszkającej na drugiej półkuli to jedno, a świadomość, że się ją zapłodniło, to zupełnie co innego.

Czy ona naprawdę zamierza go odwiedzić?

Sophie, elegancka córka sir Kennetha i lady Elizy Felshamów z Londynu, oraz on, zwykły hodowca bydła z farmy Coolabah Waters leżącej w centrum australijskiego kontynentu, mają być rodzicami? To szaleństwo!

Sophie ścisnęła w dłoni kieliszek szampana, modląc się, by żaden z zaproszonych na wieczorek gości nie zauważył, że ani razu nie zamoczyła ust. Nie miała ochoty się tłumaczyć.

Wolała się też nie zastanawiać, jak zareagują rodzice na wieść o jej ciąży. Dziecko z nieprawego łoża? To nie do pomyślenia! W dodatku spłodzone z mężczyzną, którego ona, ich córka, prawie nie zna! Z mężczyzną, który mieszka z kilkoma tysiącami sztuk bydła na drugim końcu świata.

Wyobrażając sobie pełne oburzenia miny rodziców, Sophie wzdrygnęła się. Prędzej czy później będzie musiała powiedzieć im prawdę, ale jeszcze nie dziś. Dziś jest za wcześnie. Czowała się zbyt krucha, zbyt mało pewna siebie.

Na szczęście ojciec pochłonięty był rozmową z dyrygentem z Wiednia. Matka również była zajęta; siedziała na kanapie otoczona grupką dobrze zapowiadających się młodych śpiewaczek, które z zapartym tchem słuchały jej barwnych opowieści o życiu zakulisowym w Covent Garden i La Scali.

Dookoła strzelały korki szampana, brzęczały kieliszki, kulturalni ludzie wznosili toasty, wypowiadali dowcipne uwagi, wybuchali śmiechem. Rozglądając się po dużym salonie wypełnionym genialnymi muzykami, Sophie uznała, że niepotrzebnie przyszła.

Ale matka nalegała.

- Nie, kochanie, nie przyjmuję odmowy do wiadomości. Musisz wpaść, zresztą tylko na tym skorzystasz. Sama wiesz, że po każdym przyjęciu zyskujesz nowych klientów.

Nie mogła temu zaprzeczyć. Poza tym miała dość kłopotów, nie chciała dodatkowo narazić się matce. Dlatego zgodziła się przyjść, ale szybko pożałowała tej decyzji.

Była zmęczona, zirytowana, nieszczęśliwa, w dodatku zauważyła sunącego w jej kierunku Freddiego Halversona, który zawsze potwornie ją nudził. Należałoby wymknąć się jak najszybciej.

Opuściwszy niepostrzeżenie salon, ruszyła do kuchni, stamtąd ciemnymi schodami na piętro i korytarzem do pokoiku, który zajmowała do dziewiętnastego roku życia. Postawiła kieliszek na komodzie, sama zaś usiadła na ławie przy oknie, przycisnęła rozgrzany policzek do zimnej szyby, popatrzyła w dół na lśniącą od deszczu ulicę oraz ledwo widoczne zarysy londyńskich dachów. Po raz setny od rozmowy z Markiem Winchesterem usiłowała sobie wyobrazić, gdzie się znajdował, kiedy rano do niego zadzwoniła.

Wspomniał coś o spędzie. Hm, nigdy nie przepadała za westernami. Od telefonu minęło już dwanaście godzin, ale wciąż nie mogła się otrząsnąć. Chociaż ucieszyła się, słysząc niski, ciepły głos Marka, sama rozmowa pozostawiła w niej uczucie niedosytu.

W dodatku połączenie było kiepskie, a trzaski uniemożliwiały normalną rozmowę. Kiedy w słuchawce rozległ się ciągły sygnał, Sophie rozplakała się. Co najmniej dziesięć minut zalewała się łzami, trzykrotnie myła twarz.

Odsunęła się od okna i wyprostowała dumnie plecy: więcej płakać nie będzie. Niechciane ciąży zdarzają się; nie jest ani pierwszą, ani ostatnią kobietą na świecie, która znalazła się w tej sytuacji.

Żal jej było nie tylko siebie. Również Marka zaskoczonego wiadomością o jej ciąży. A także dziecka, tej małej kruszyny, która nie prosiła się o poczęcie. Dziecko na pewno nie byłoby szczęśliwe, mając za rodziców szaloną dziewczynę i faceta o czarującym uśmiechu, którzy mieszkali na dwóch krańcach świata i nie mogli mu zapewnić normalnego przytulnego domu.

Mimo to myśl o usunięciu ciąży nawet nie przyszła jej do głowy. Chciała wyjaśnić to Markowi, by wiedział, jak się sprawy mają, ale... No właśnie. Ta przerwana rozmowa nic nie dała. Prawdę rzekłszy, po odłożeniu słuchawki Sophie czuła się jeszcze gorzej, niż zanim wykręciła numer.

Może zbyt wiele oczekiwała od Marka Winchestera? Bądź co bądź prawie się nie znali; po wspólnie spędzonej nocy rozstali się, każde poszło w swoją stronę. Próbowwała o nim zapomnieć i niemal jej się udało.

Kłamczucha!

Otoczywszy rękami kolana, westchnęła. Pamiętała wszystko w najdrobniejszych szczegółach: ciemne oczy o wyjątkowo przenikliwym spojrzeniu, szerokie ramiona, opaloną skórę, lśniące ciemne włosy, nieco krzywy nos, mocno zarysowaną szczękę.

Pamiętała, jak na nią patrzył, kiedy tańczyli na weselu - ten żar w jego oczach, który powodował, że ciarki przebiegały jej po plecach. I oczywiście pamiętała, co się zdarzyło później, każdą sekundę, każdy dotyk jego palców, każde muśnięcie ust. Na samo wspomnienie zalała ją fala gorąca. Sophie zadrżała, tak jak tamtego dnia na ślubie przyjaciół, podczas którego ona wystąpiła w roli druhny, a Mark drużby.

Raptem rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Sophie, jesteś tam?

- Emma? Dzięki Bogu, że to ty. - Poderwawszy się z ławy, Sophie pocałowała przyjaciółkę w policzek. Emma była jedyną osobą, której zwierzyła się z ciąży. - Nie spodziewałam się, że zajrzycie tu dziś z Timem. Nie macie nic lepszego do roboty?

- Nie żartuj. Miałabym zostawić cię samą, kiedy wpadłaś w kłopoty?



Sophie zamknęła drzwi, po czym włączyła lampę. Mleczny blask oświetlił jej dawną sypialnię, która obecnie służyła za pokój gościnny. Na szczęście żaden z przybyłych na przyjęcie gości nie zamierzał z niego skorzystać.

- Zadzwoiłaś do Marka? - spytała Emma.

- Tak. - Sophie westchnęła cicho. - Ale rozmowa niewiele w sumie dała. Strasznie źle było słycać.

- Jak Mark przyjął wiadomość?

- Nie wiem. Na pewno był zaskoczony.

- Na pewno - przyznała z uśmiechem Emma. Usiadłszy na brzegu łóżka, zsunęła buty i podwinęła nogi pod siebie, tak jak to robiła w dawnych czasach, kiedy wpadała do Sophie po szkole. - To jak grom z jasnego nieba.

- Fakt.

Sophie zajęła z powrotem miejsce na ławie. Dziś czuła się znacznie lepiej, ale wczoraj przeżyła szok, kiedy lekarz poinformował ją, że zmęczenie, które dokucza jej od dwóch tygodni, i lekko nabrzmiałe piersi są wynikiem ciąży. Oczywiście wiedziała, że miesiączka się jej spóźnia, ale wierzyła, że musi być tego inna przyczyna.

Słowa lekarza wprowadziły ją w zakłopotanie. Na miłość boską, w dwudziestym pierwszym wieku inteligentna wykształcona dziewczyna powinna umieć się zabezpieczyć przed niechcianą ciążą. Wzdrygnęła się na myśl o wykładzie, jaki ojciec niechybnie jej wygłosi, kiedy dowie się, że zostanie dziadkiem.

- Głowa do góry, Sox.

Na dźwięk zdrobnienia, którym Emma zwracała się do niej w dzieciństwie, Sophie uśmiechnęła się i odsunęła od siebie myśli o ojcu. Z rodzicami porozmawia później. Znacznie później.

- Nie miałam racji. - Ponownie westchnęła. - Nie powinnam była dzwonić, kiedy Mark przebywa na środku pustkowia. Teraz muszę czekać tydzień, aż wróci do domu. A to takie trudne. Nie potrafię się skupić ani podjąć żadnej sensownej decyzji, dopóki z nim nie porozmawiam.

- Na co liczysz?

Sophie, speszona, zaczęła miętosić medalion, który przyjaciółka podarowała jej na pamiątkę swojego ślubu.

- Że się z tobą ożeni?

- Zwariowałaś? - Może była na tyle nierozsądna, aby zająć w ciążę, ale twardo stała po ziemi i w żadne bajki nie wierzyła.

- Byłoby to jakieś rozwiązanie.

- Co? Wyjść za mąż za faceta, którego znałam niecałe dwadzieścia cztery godziny?

- Sophie zmrużyła oczy. - Chyba nie mówisz serio?

Starła się zignorować lekkie ukłucie zazdrości. Sześć tygodni temu jej przyjaciółka poślubiła człowieka, którego kochała ponad życie, promieniała szczęściem i w dodatku nie była w ciąży.

- Po prostu muszę porozmawiać z Markiem. Dowiedzieć się, co on o tym wszystkim myśli. - Warga jej zadrżała. Przestań, Sophie, tylko nie becz, przykazała samej sobie.

- Jeżeli będzie chciał regularnie widywać się z dzieckiem... Bilety do Australii są drogie, lepiej zawczasu omówić różne sprawy.

Emma zeskoczyła z łóżka i wcisnęła się na ławę obok przyjaciółki.

- Zobaczysz, wszystko się ułoży. - Objęła ją ramieniem. - Pogadasz z Markiem i od razu poprawi ci się humor. Swoją drogą, co on robi na tym pustkowiu?

Sophie wzniosła oczy do nieba.

- Jest na spędzie bydła.

Emma pokręciła z uśmiechem głową.

- Trudno sobie wyobrazić Marka Winchestera, który w słońcu i kurzu przegania bydło, prawda? Jako družba był taki niesamowicie wytworny. Nawet ja zdołałam odebrać na moment wzrok od Tima i zerknąć na Marka. Przystojny z niego gość, śniady, wysoki, seksowny...

- No, niestety - przyznała smętnie Sophie. - Zbyt przystojny i zbyt seksowny. To mnie zgubiło. Przez to, że tak bardzo mi się podobał, mam teraz kłopoty.

- I dlatego, że Oliver okazał się takim prosiakiem - mruknęła pod nosem Emma.

Sophie popatrzyła zdziwiona na przyjaciółkę.

- Domyśliłaś się?

- Że zaczęłaś flirtować z Markiem, aby pokazać Oliverowi, że jego podłe zachowanie nie wywarło na tobie żadnego wrażenia?

Sophie skinęła głową.

- Och, Sox, tak łatwo cię przejrzeć. Pomijając wszystko inne, to nie należysz do osób, które z każdym flirtują. Ale nie dziwię ci się, że postanowiłaś spróbować. Przy takim przystojniaku jak Mark rzesy same trzepoczą. W dodatku Oliver miał czelność paradować przed tobą, trzymając pod rękę nową narzeczoną. Najchętniej wywaliłabym go za drzwi.

Sophie zrobiło się lżej na duchu, że Emma rozumie, jak bardzo czuła się upokorzona, kiedy Oliver przybył na ślub z bogatą dziedziczką, która miała na palcu kupiony dla niej, Sophie, pierścionek z szafirem i brylantami.

Niemal wszyscy na przyjęciu weselnym wiedzieli, że Sophie jest „odrzutem” Olivera. Większość starała się nie patrzeć na nią z ubolewaniem, lecz ona i tak widziała ich współczujący wzrok. Nie mogła tego wytrzymać, miała ochotę zapaść się pod ziemię, zniknąć.

Emma prychnęła gniewnie.

- Nawet nie wiesz, jaka jestem wściekła na mamę, że pozwoliła temu draniowi przyjść na mój ślub. Kiedy z tobą zerwał, powinna była skreślić go z listy. A on mało, że sam przyszedł, to jeszcze zdobył zaproszenie dla narzeczonej.

- No tak, ale chęć zemsty na Oliverze to dość głupi powód, aby zająć w ciążę - stwierdziła Sophie. - Jak mam to wytłumaczyć rodzicom? A w przyszłości dziecku?

Prawdę mówiąc, sama nie bardzo rozumiała, jak to się stało, że pokusa odwetu na jednym facecie przeobraziła się w chęć seksu z drugim. Chociaż nie, doskonale to rozumiała. A nawet potrafiła dokładnie wskazać moment, kiedy spojrzała w ciemne oczy Marka Winchestera i przestała myśleć o przeszłości, a zaczęła o terażniejszości. Po prostu nagle, w jednej chwili, jej sercem zawładnął wysoki Australijczyk. To było tak, jakby przebudziła się z głębokiego snu.

Kiedy tańczyła z Markiem, cała drżała z podniecenia. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyła. Marzyła o tym, aby opuszką palca pogłodzić opalony policzek. Zastanawiała się, jaki smak mają jego wargi.

- Czyli postanowiłaś urodzić? - spytała Emma.

Sophie ocknęła się z zadumy.

- Tak.

- To cudownie.

Cudownie? Może. Na razie Sophie nie potrafiła wykrzesać z siebie entuzjazmu. Nie mogła też uwierzyć, że za siedem i pół miesiąca zostanie matką.

- Wiesz, Em, zachowałam się jak idiotka. Rozmawiając z Markiem, zaproponowałam, że przylecę do Australii, abyśmy mogli omówić wszystko w cztery oczy.

- Och, to fantastyczny pomysł. Właśnie na to liczyłam. Wczoraj wieczorem powiedziałam Timowi...

- Powiedziałaś mu o dziecku?

- Sophie, Tim jest moim mężem i zarówno twoim, jak i Marka przyjacielem. Martwi się o was. Sam wczoraj powiedział, że gdybyście mogli się spotkać, spędzić z sobą trochę czasu, na pewno doszlibyście do porozumienia.

- Więc uważasz, że powinnam się wybrać do Australii?

- Absolutnie. Inaczej sobie tego nie wyobrażam.

To prawda. Z drugiej strony czy to nie przesada lecieć tyle tysięcy kilometrów po to, by odbyć rozmowę, którą znacznie taniej można odbyć przez telefon?

Tylko że... chciała ponownie zobaczyć się z Markiem. Może po rozmowie z nim łatwiej jej będzie stawić czoło rodzicom? No i nie można wykluczyć - choć szansa na to jest znikoma - że kiedy znów się spotkają, ona i Mark, to...

Oj, Sophie, przestań marzyć, zganiła się w duchu. Pamiętaj, jak się zakończył twój związek z Oliverem. Niech cię nie ponosi fantazja.

- Kochanie, chodzi o twoją przyszłość - rzekła Emma. - Twoją, Marka i waszego maleństwa. To zbyt ważna sprawa, aby ją omawiać przez telefon.

- Pewnie masz rację - przyznała Sophie. - Muszę się jeszcze zastanowić.

Emma wstała z ławy, wsunęła nogi w czarno-srebrne sandaalki, po czym pogładziła przyjaciółkę po głowie.

- Zrób, co ci ciocia Emma każe. O wszystkim można gadać przez telefon, ale nie o ciąży, nie o dziecku. Rozmawiając o dziecku, trzeba patrzeć sobie w oczy, obserwować reakcję partnera.

- To prawda.

- Słuchaj, Marion Bradley szuka pracy. Przez tydzień czy dwa na pewno chętnie pokieruje twoją agencją. Podejrzewam, że gdyby mogła, zostałaby u ciebie na stałe.

- Dobra, wezmę to pod uwagę.

- Zobaczysz, wszystko się znakomicie ułoży. - Emma spojrzała na zegarek. - Obiecałam Timowi, że za pięć minut będę z powrotem.

- Idź, idź, ratuj go od nudziarzy. Dzięki, że wpadliście.

- Będę w kontakcie.

TLR

## ROZDZIAŁ DRUGI

Księżyc w trzeciej kwadrze wyłonił się z za chmur, powlekając obozowisko chłodnym mlecznym blaskiem. Mark przekreślił się na drugi bok; nie był w stanie zasnąć.

Popatrzył na widoczne w srebrzystej poświacie sylwetki śpiących kowbojów, porządnych, kochających swoją pracę mężczyzn, którzy najchętniej nie zsiadaliby z koni i których pomoc przy spędzie była wręcz nieoceniona. Następnie przeniósł spojrzenie na niebo, na gwiazdy i konstelacje, które znał od dziecka. Wszystkie znajdowały się na swoim miejscu: przypominający kształtem patelnię Orion, Krzyż Południa z dwiema jasnymi gwiazdami, Droga Mleczna...

Westchnął głośno. Od rozmowy z Sophie minęła doba, ale wciąż czuł się oszołomiony wiadomością, którą usłyszał.

Sophie zaszła w ciążę. Z nim.

Niewiarygodne. Zdumiewające.

Miał potworne wyrzuty sumienia. Co teraz? Jak się zachować? Co zamierza Sophie? Nawet nie wiedział, czy chce urodzić dziecko.

Decyzja oczywiście należy do niej, miał jednak nadzieję, że nie usunie ciąży. On ze swojej strony uczyni wszystko, aby jej pomóc, na pewno zabezpieczy ją finansowo.

Potańczał brodę. Szkoda, że nie zdołali dokończyć rozmowy przez telefon. Winił siebie za to, że bateria się rozładowała. Po prostu nie zdawał sobie sprawy, że nowy kucharz jest uzależniony od hazardu. Facet po kryjomu wydzwaniał do bukmachera w Melbourne i nie raczył podładować baterii.

Leżąc w śpiworze na twardej czerwonej ziemi, Mark nie przestawał myśleć o Sophie. Była śliczna, jej wdzięk i uroda dosłownie zapierały dech w piersi. Pamiętał wesołe iskierki w jej oczach, melodyjny głos, jedwabistość skóry, zmysłowe ruchy szczupłego ciała, które ocierało się o niego w tańcu.

A potem w łóżku...

Westchnął ciężko. Po jakie licho zadreślał się wspomnieniami? Sophie jest w ciąży. Uwiódł dziewczynę, zniszczył jej życie.

Kiedy wróci do domu, musi zadzwonić do Londynu. To absurd, żeby Sophie leciała na drugi koniec świata. Oczywiście w innych okolicznościach ucieszyłby się z jej wizyty. Byłoby fantastycznie, gdyby mogli kontynuować tak miłą znajomość. Ale skoro Sophie jest w ciąży? Psiakrew! Może jej się marzy nie romans, lecz coś bardziej trwałego, na przykład małżeństwo?

Życie na australijskiej farmie, z dala od cywilizacji, nie nadaje się dla ciężarnej dziewczyny, która od urodzenia mieszka w dużym mieście. Posiadłość, którą zarządzał, była ogromna, a to oznaczało, że całe tygodnie spędzał poza domem. Sophie czułaby się opuszczona i nieszczęśliwa. Pomijając upał i kurz, które dawałyby się jej we znaki, miałyby daleko do lekarza, do szpitala, do sklepów i restauracji. W pobliżu nie było też żadnych innych kobiet, z którymi mogłaby się umawiać na babskie pogaduszki.

Tak, rozsądniej przedyskutować wszystko przez telefon: wysokość alimentów, odwiedziny. Bardzo chętnie będzie kupował bilety na lot do Australii, aby maluch i jego mama mogli kilka razy w roku spędzać tu wakacje.

Nie ma się nad czym zastanawiać. On, Mark, uczyni wszystko, aby pomóc Sophie, lecz nie ma sensu, aby ona tu teraz przyjeżdżała.

Na stoliku w salonie leżały stosy broszur turystycznych, mapy Australii, rozkłady lotów oraz ulotki informujące o najbliższych koncertach jej starszych sióstr.

Sophie popatrzyła na ładne czarno-białe zdjęcie Alicii. Obie jej siostry odziedziczyły po rodzicach talent muzyczny i zrobiły oszałamiające kariery. Żadna nie wpakowałaby się w takie kłopoty.

Sophie, najmłodsza z trzech córek Felshamów, często słyszała komplementy na temat swojej urody, jednak pewne cechy charakteru - niecierpliwość, skłonność do marzycielstwa - przeszkadzały jej w osiągnięciu mistrzostwa. W przeciwieństwie do Alicii i Elspeth nie potrafiła godzinami ćwiczyć, a w przeciwieństwie do swoich sławnych rodziców nie marzyła o zawojowaniu świata.

Emma oznajmiła kiedyś, że Sophie przestała rywalizować z siostrami ze strachu przed porażką. Pewnie miała rację. Jednak tyle razy przegrywała, że jej strach był uzasadniony.

Ostatnia, najnowsza porażka - odtrącenie przez Olivera - przeważała szalę. A teraz niezaplanowana ciąża...

Z całą pewnością przypieczętuje to jej pozycję w rodzinie. Pozycję czarnej owcy.

Sophie potrząsnęła głową, usiłując pozbyć się tej nieprzyjemnej myśli. Coś musi zrobić, by przemienić negatyw w pozytyw, klęskę w zwycięstwo. Jest to winna dziecku.

Jasne, że się bała, ale była również dziwnie podniecona. Chciała być idealną matką, osiągnąć sukces w macierzyństwie. Jej własna mama, zajęta muzyką, nie poświęcała córkom zbyt wiele czasu, zwłaszcza trzeciej córce.

Ona, Sophie, będzie się troszczyła o swoje maleństwo, okazywała mu mnóstwo serca i cierpliwości, pozwoli mu wyrosnąć na szczęśliwego człowieka; nie będzie żądała, by szło wytyczoną przez nią ścieżką.

Po raz pierwszy w życiu wyprzedzi siostry, wykona coś, z czym one nie miały dotąd do czynienia. Stworzy swojemu dziecku tak wspaniały dom, że nikt w rodzinie Felshamów nie odważy się jej skrytykować.

Pocieszona tą myślą, sięgnęła po folder opisujący australijskie pustkowia. Instykt jej mówił, że powinna natychmiast wyruszyć w podróż do Marka, ojca dziecka.

W porządku, może mówił jej również, że powinna na pewien czas oddalić się od rodziny. Tak czy inaczej rozmowa z Markiem, rozmowa w cztery oczy, a nie przez telefon, jest w tej chwili najważniejsza. Prawda?

Chyba że znów ją intuicja zawodzi. Może się przecież zdarzyć, że uda się w podróż na drugi koniec świata, a tam przeżyje kolejne rozczarowanie. Przecież nie można tego wykluczyć. Zacisnąwszy powieki, ujrzała przed sobą Marka: jego twarde umięśnione ciało, opaloną skórę, zmarszczki wokół oczu, leniwy uśmiech. Serce zabiło jej mocniej. Pod każdym względem Mark Winchester różnił się od Olivera.

Delikatnie pogładziła się po brzuchu i mimo woli rozciągnęła wargi w uśmiechu. Nosila w sobie zaczątek życia, dziecko, które może będzie podobne do swojego tatusia, może będzie miało jego chód albo spojrzenie. Małego człowieczka, którego szczęście leży w jej rękach.

I w rękach Marka.



Może powinna posłuchać rady Emmy? Może nie powinna się wahać, lecz wsiąść w pierwszy samolot i lecieć do Australii? No dobrze, ale co potem? A jeśli straci głowę dla Marka, a on ją odtrąci i odeśle do Anglii? Czy wytrzyma ten ból, to upokorzenie?

Ale czy ma wybór? Owszem, mogła nie ruszać się z Londynu i obserwować niezadowolone miny swoich sióstr oraz rodziców zerkających na jej powiększający się brzuch.

A zatem czy nie lepiej zaryzykować i odwiedzić Marka?

TLR

## ROZDZIAŁ TRZECI

Nikogo nie było w domu.

Popatrzyła skonsternowana na obłazącą farbę na drzwiach i sfatygowaną mosiężną kołatkę. Ponownie przeczytała tabliczkę z nazwą posiadłości: Coolabah Waters. Nie ulega wątpliwości, że trafiła pod właściwy adres.

Ale nikt nie reagował na pukanie. Ciekawe, gdzie się Mark podziewa?

Nie przyszło jej do głowy, że zastanie pusty dom. Wtedy, gdy rozmawiali przez telefon, Mark powiedział, że spęd potrwa jeszcze tydzień i że zadzwoni do niej po powrocie na farmę. Parę dni później zatelefonowała po raz drugi, na numer stacjonarny. Marka wciąż nie było. Zostawiła wiadomość, kiedy przylatuje; zarządca oznajmił, że spodziewa się Marka lada dzień. Dziś nie było ani jednego, ani drugiego.

Ponownie zastukała do drzwi.

- Hop, hop! - zawołała, lekko zaniepokojona. - Jest tam kto?

Cisza. Żadnej odpowiedzi, żadnego szurania. Słyszała jedynie bzyczenie owadów w trawie i dochodzące z daleka muczenie krowy. Zmrużywszy oczy, coraz bardziej zdenerwowana obejrzała się przez ramię. Furgonetka pocztowa, którą zabrała się z Wandabilli, oddalała się, zostawiając za sobą chmurę pyłu. Nawet gdyby, pomyślała Sophie, rzuciła się za nią biegiem, kierowca by jej nie zauważył.

Była sama. Sama na środku kontynentu australijskiego, otoczona setkami kilometrów kamienistych wzgórz i pozbawionej roślinności pustki.

Dlaczego nie ma Marka?

Myślała o nim bez przerwy, najpierw podczas długiego lotu z Londynu, potem w trakcie znacznie krótszego lotu przez pół Australii do miasteczka Mount Isa, następnie podczas podróży małym samolocikiem, w którym niemiłosiernie trzęsło, nad bezkresnym suchym terenem do Wandabilli przy granicy Terytorium Północnego. Od pracującej na poczcie miłej kobiety otrzymała wskazówki co do dalszej drogi. Zgodnie z jej radą poprosiła kierowcę furgonetki pocztowej, aby podrzucił ją do Coolabah Waters.

Dotarła na miejsce i teraz nie bardzo wiedziała, co ma z sobą począć. Dosłownie padała na nos ze zmęczenia. Nagle decyzja o przylocie do Australii, aby porozmawiać z

Markiem o dziecku, wydała jej się równie nierozsądna jak zaproszenie Marka do siebie po weselu Emmy i Tima.

To właśnie Tim, mąż Emmy, przekonał ją, aby spakowała się i wyruszyła do Colabah Waters.

- Musisz porozmawiać z Markiem osobiście - stwierdził. - To porządny gość, który nie kłamie i niczego nie owija w bawełnę. A Australia na pewno ci się spodoba. Nie ma drugiego takiego miejsca na świecie.

To prawda, pomyślała smętnie Sophie, rozglądając się wkoło. Ale nie podzielała entuzjazmu Tima; suche bezkresne połacie ziemi nie wzbudzały jej zachwyty.

Nie sądziła, że dom Marka będzie stał na takim kompletnym odludziu. Owszem, słyszała, że w Australii odległości są duże, że kraj jest wysoko rozwinięty, lecz słabo zaludniony, ale liczyła na jakieś miasteczko w pobliżu.

Usiłując powstrzymać mdłości, które w ciągu ostatnich dwóch tygodni coraz bardziej dawały się jej we znaki, Sophie podeszła do okna. Może uda jej się zajrzeć do środka? Niestety. W oknie wisiały stare koronkowe firanki. Zdołała zobaczyć jedynie zarys fotela.

Hm, okna były typu podnoszonego. Czując się trochę jak włamywaczka, przyłożyła dłoń do framugi. Nic nie drgnęło.

Ponownie obejrzała się przez ramię. Furgonetka pocztowa znikła już na horyzoncie. Co teraz? Sophie przestąpiła nerwowo z nogi na nogę. Dookoła panowała cisza. Totalny bezruch. Zwykle człowiek słyszy jakieś szумы, głosy, warkot silnika, ryk samolotu. A tu nic.

Jak tak dalej pójdzie, to ta cisza ją wykończy.

Spokojnie, nie panikuj, powiedziała sama do siebie.

Usiadła na walizce i próbowała się skupić. Czyżby popełniła największy błąd w życiu? Poniosła kolejną porażkę?

Mark mógł być wszędzie, na samym końcu swojej rozległej posiadłości. Przez telefon mówił o spędzie bydła; nie miała pojęcia, czym jeszcze kowboje się zajmują. Podejrzewała, że coś muszą robić, nie mogą całymi dniami leżeć do góry brzuchem i czekać, aż ich krowy utuczają się na pastwisku.

No dobrze, może Mark naprawia coś hen od domu, ale w takim razie gdzie się podziewa jego zarządca? Przez telefon facet brzmiał bardzo sympatycznie, a w dodatku swojsko, bo mówił ze szkockim akcentem.

Natomiast opuszczony dom nie wyglądał sympatycznie. Niby po werandzie nie wały się żadne śmieci, ale deski podłogowe były niepomalowane, spłowiełe ze starości. Posadzone w wielkich donicach paprocie o zbrązowiałych liściach opadały smętnie ku ziemi. Ściany aż prosiły się o świeżą warstwę farby, a ogródek - chociaż ten nędzny pas otaczający dom trudno było nazwać ogródkiem - porośnięty był chwastami i suchymi kępami trawy.

Sophie popatrzyła na zegarek i ponownie westchnęła. Dochodziła dziesiąta; Mark może wrócić dopiero wieczorem. W Londynie mijała północ. Psiakość, nic dziwnego, że była zmęczona i ledwo trzymała się na nogach.

Zostawiwszy bagaż przy frontowych drzwiach, zeszła po schodkach i w butach na obcasie ruszyła po nierównej, wyboistej ziemi na tyły domu.

Kiedy w Londynie szykowała się do drogi, buty na wysokim obcasie i dwuczęściowy kostiumik wydawały się jej odpowiednim strojem. Chciała wyrzucić na Marku wrażenie. Teraz, dwadzieścia sześć godzin później, czuła się w tym stroju jak kretyńka. Nic dziwnego, że kierowca furgonetki pocztowej patrzył na nią z rozbawieniem. Pewnie dawno nic go tak nie rozśmieszyło.

Za domem znajdowała się wielka szopa, a w niej stał traktor i jakieś inne maszyny rolnicze. Nikt się przy nich nie kręcił. Sophie weszła na tylny ganek i przytknęła twarz do odsłoniętej szyby w drzwiach. Zobaczyła długi korytarz. Przesunęła się parę kroków w prawo i ponownie przytknęła twarz, tym razem do okna w kuchni. Było to duże, staromodnie urządzone pomieszczenie z kredensem, na oko stuletnim, i ogromnym stołem z sosny. W środku panował porządek, chociaż całość sprawiała dość spartańskie wrażenie.

Przy brązowym czajniku na kredensie tkwiła kartka papieru; coś było na niej napisane, ale z tej odległości Sophie nie widziała co. Przygryzła wargę. Było jej duszno; od upału miała zawroty głowy. Bała się, że jeśli nie skryje się w chłodzie, wkrótce zemdleje.

Parę razy nacisnęła klamkę, pchnęła drzwi biodrem, ale nic to nie dało. Zdesperowana wyciągnęła z torby komórkę. Jedynym człowiekiem, którego znała w Australii, był

Mark, ale on nie odbierał swojego telefonu satelitarnego. Psiakość, gdyby miała dostęp do książki telefonicznej, mogłaby zadzwonić do tej miłej kobiety na poczcie w Wandabilli. Dlaczego nie zapisała sobie jej numeru?

Ponownie wystukała numer Marka. Nie liczyła na sukces. I słusznie. Tkwiła na tym bezludziu, w upale, przed wielkim, rozpadającym się domem, i czuła, że lada moment się pochoruje.

Istniało tylko jedno wyjście. Musi włamać się do środka. Trudno, jakoś się przed Markiem wytłumaczy, jeśli oczywiście on w ogóle się pojawi.

Hm, drewniane żaluzje w drzwiach wyglądały obiecująco. Niewiele się zastanawiając, Sophie podważyła pojedynczą deseczkę. Ku jej zdumieniu, deseczka przesunęła się na tyle, że można było śmiało wsadzić rękę w otwór. Przywierając z całej siły do drzwi, Sophie wymacała w środku klucz pod klamką. Przekręciła go. Drzwi się otworzyły.

Wchodząc do cudzego domu, poczuła wyrzuty sumienia. Zignorowała je. Teraz przynajmniej może zaparzyć sobie filiżankę herbaty i wyciągnąć się na kanapie. Miała nadzieję, że Mark zrozumie i jej wybaczy.

Niskie promienie zachodzącego słońca barwiły na złocisto czubki kołyszących się na wietrze wysokich traw. Mark siedział na koniu, który zbliżał się galopem do zagrody przy domu. Obok biegły dwa australijskie psy pasterskie.

Wszyscy byli zmęczeni: człowiek, koń, psy. I wszyscy cieszyli się, że wreszcie są w domu.

Ostatnie dwa tygodnie były bodajże najgorszymi w życiu Marka. Podczas spędu był zajęty od rana do wieczora, bez przerwy rozmyślał o rozmowie z Sophie i nie mógł się doczekać powrotu na farmę. Niestety szyki mu popsuł jeden z kowbojów.

Tydzień temu młodzik, który w czarną bezksiężycową noc stał przy tymczasowej zagrodzie dla bydła, zapalił papierosa. Dureń nie przykrył zapalki kapeluszem, no i krowy wpadły w panikę. Ich strach rozprzestrzenił się po stadzie niczym pożar po buszu. Sześćset sztuk bydła rzuciło się do ucieczki.

Zwierzęta rozbiegły się po porośniętych krzakami wąwozach. Zapędzenie ich z powrotem do zagrody zajęło prawie tydzień. Mark nie miał czasu na takie zabawy, ale co było robić? Bank czekał na spłatę pierwszej raty. Należało zwierzęta wyłapać.

Nie potrafił ukryć frustracji; wyładowywał złość na swoich pracownikach. Dlatego po skończonej robocie pozwolił im pojechać prosto do Wandabilli. Zasłużyli na odpoczynek, na parę nocy w miasteczku.

Pożegnał się z nimi na rozstaju dróg. Chciał być sam. Mógł spokojnie zastanowić się nad przyszłością.

Im bliżej był domu, tym większe czuł napięcie. Czekala go dziś ważna rozmowa telefoniczna, być może najważniejsza w życiu.

Wreszcie hen na horyzoncie, na tle czerwono-żółtego krajobrazu, ujrział swój dom. Jak to dobrze być z powrotem. Po trzech tygodniach miał dość siedzenia w siodle, spania w śpiworze na twardej ziemi, brania prysznic pod zawieszonym na gałęzi wiadrem z wodą, prania ubrań w zimnych strumykach. Teraz, zbliżając się do domu, marzył o jednym.

No dobrze, o trzech rzeczach: o tym, żeby się porządnie wymoczyć w wannie, o świeżym ubraniu i o czystej pościeli. I jeszcze o miękkim materacu.

Co za luksus.

Najpierw jednak zajął się koniem i psami: zmył z nich kurz, wyszczotkował im sierść, dał wody do picia, coś do jedzenia.

Wszedł do domu tylnymi drzwiami. Od razu na werandzie ściągnął buty do jazdy konnej. Potem skręcił do pralni; rzucił na podłogę plecak, następnie zdjął przepoconą koszulę i cisnął ją do dużej miski. Kiedy zobaczył grubą warstwę błota zaschniętą na nogawkach spodni, postanowił również się ich pozbyć, a potem nago przejść do łazienki.

Uśmiechnął się na myśl o tym, jak ciepła, pachnąca płynem do kąpieli woda usuwa zmęczenie i łagodzi napięcie w mięśniach. Tak, poleży, wymoczy się, w końcu wstanie wypoczęty i poszuka swojego starego zarządcy Haggisa. Usiądą razem na werandzie, wypiją po puszcze lub dwie zimnego piwa, a on opowie staruszkowi o spędzie.

Po kolacji zadzwoni do Sophie.

Znów poczuł ucisk w gardle. Tysiące razy powtarzał W myślach, co jej powie, ale i tak się denerwował.

Najgorsze, że musi zdobyć numer Sophie od Tima. Biedna Emma chyba umrze z ciekawości.

Doszedłszy do łazienki, zmarszczył czoło. Co to? Zamknięte drzwi?

Nagle ze środka dobiegł go odgłos lecącej wody. Kto, do diabła...?

- To ty, Haggis? - zawołał Mark. - Pośpiesz się, stary.

Usłyszał okrzyk zdumienia i głośne pluśnięcie, a potem prychnanie i kaszel, jakby ktoś się zakrztusił wodą. Osoba wewnątrz coś odpowiedziała, ale jej słowa były niezrozumiałe. Jedno nie ulegało wątpliwości: w wannie nie siedzi Haggis. Głos był wyraźnie kobiecy.

- Hej, kto tam jest? - spytał zaskoczony Mark.

Wciąż pokaszując i wypluwając wodę, Sophie z trudem wydostała się ze śliskiej wanny. Serce łomotało jej jak oszalałe; była pewna, że za moment pęknie z przerażenia.

Większość dnia przespała. Kiedy się obudziła, czuła się o niebo lepiej. Nie mogła oprzeć się pokusie, aby napełnić wannę ciepłą wodą, wlać do niej odrobinę olejku lawendowego, który znalazła w łazienkowej szafce, wyciągnąć się i zamknąć oczy. Na dźwięk dochodzącego zza drzwi głosu Marka w pierwszej chwili poczuła ulgę, potem jednak się wystraszyła: brzmiał tak groźnie!

Chwyciła z wieszaka duży żółty ręcznik.

- Mark, to ja! Sophie Felsham.

- Sophie? - W głosie mężczyzny pojawiła się nuta niedowierzania. - Od kiedy tu jesteś?

Boże, ratunku! - pomyślała. Był zły, poirytowany. Dziesiątki razy wyobrażała sobie ich pierwsze spotkanie w Australii. Och, jak bardzo się myliła! Drżącymi rękami owinęła się ręcznikiem.

- Strasznie cię przepraszam. Nie było nikogo w domu. Nie wiedziałam, co mam robić.

Nic. Zero reakcji.

- Mark! - zawołała ponownie. - Przyjechałam się z tobą zobaczyć. Porozmawiać.

Uświadomiwszy sobie, że rozmowa przez zamknięte drzwi jest bez sensu, Sophie uchyliła je. O rany! To był zły pomysł. Wstrzymała oddech. Serce jej zamarło. Mark stał goły jak go Pan Bóg stworzył.

- Chryste, przepraszam. - Zaczerwieniła się. - Nie zdawałam sobie sprawy, że...

Nawet nie drgnął. Nagi, milczący, dumnie wyprostowany, wyglądał jak grecki posąg. Milczenie i kompletny bezruch świadczyły o głębokim zdumieniu. Po chwili jego policzki oblały się rumieńcem.

Sophie wydukała jeszcze raz przeprosiny, po czym zatrzasnęła drzwi. Oparłszy się o nie, potarła dłońmi rozpaloną twarz. W oczach Marka nie dojrzała najmniejszej isierki ciepła czy radości. Ale czy może mu się dziwić? Marzyła o tym, aby wpaść do dziury w ziemi, niczym Alicja w krainie czarów, i w magiczny sposób wyjść na powierzchnię w Londynie, na drugiej półkuli.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak speszona. W głębi duszy musiała jednak przyznać, że widok był niesamowity: Mark wyglądał fantastycznie. W ciągu tych paru sekund, kiedy na niego patrzyła, nic nie uszło jej uwagi: ani idealnie ukształtowana klatka piersiowa, ani imponująca szerokość ramion, ani silne, muskularne uda...

Ani oczywiście cała reszta. Choć starała się nie opuścić niżej wzroku, musiałyby być ślepa, aby nie widzieć, jak bardzo Mark jest męski.

Męski, ale i obcy, bo twarz miał ocienioną kilkudniowym zarostem, ciało zaś spieczone przez słońce i pokryte czerwonym australijskim pyłem.

Przeklinając pod nosem, Mark otworzył szafę i ściągnął z wieszaka czyste ubranie, które włożył na brudne spocone ciało. Serce waliło mu jak młotem. Oj tak, minie trochę czasu, zanim ochłonie. Nie spodziewał się, że po powrocie do domu zobaczy w łazience owiniętą ręcznikiem Sophie, a w dodatku że będzie stał przed nią jak niemowa.

Owinięta ręcznikiem czy zapięta pod szyję - właściwie to nie miało znaczenia. Po prostu sam widok Sophie w Coolabah Waters wprowadził go w osłupienie.

Przełknął ślinę. Nie przyszło mu do głowy, że Sophie może wsiąść w samolot i przylecieć do Australii, zanim będą mieli okazję porozmawiać.

Co nią kierowało? Na co liczyła?



W dżinsach i rozpiętej koszuli udał się bosy do kuchni. Sądził, że znajdzie tam Haggisa krojącego cebulę lub obierającego przy zlewie ziemniaki.

W kuchni nie było nikogo, w powietrzu jednak unosił się smakowity zapach. Coś grzało się w piekarniku. Hm, przypuszczalnie wołowina z pieczarkami.

Wtem spostrzegł opartą o czajnik kartkę. Zmarszczywszy brwi, sięgnął po nią.

„Mark, moja siostra Deirdre, która mieszka w Adelajdzie, jest poważnie chora. Muszę do niej pojechać. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale twój telefon satelitar-ny nie działa. Przepraszam, stary. Wiem, że mi wybaczysz. Zostawiłem w zamrażarce z tuzin przyrządzonych dań, wystarczy je tylko podgrzać. W notesie przy telefonie zapisa-łem też numer do Deirdre. Do zobaczenia, Angus.

PS. Dzwoniła jakaś młoda Angielka. Powiedziała, że zamierza cię odwiedzić. Po-wodzenia!"

Na liście widniała data sprzed czterech dni. Mark podrapał się po szyi, zastanawia-jąc się, ile jeszcze czeka go dziś niespodzianek. Zmiał kartkę i cisnął ją na kredens. Czy choroba Deirdre i wyjazd Haggisa do Adelajdy musiały zbiec się w czasie z przylotem Sophie?

Nagle za jego plecami rozległy się ciche kroki.

- Łazienka wolna.

Obrócił się. Tak, to ona, Sophie Felsham. Wciągnął z sykiem powietrze. Włosy miała wilgotne i potargane, jakby pośpiesznie przetarła je ręcznikiem. Pojedyncze ciem-ne kosmyki opadały jej na czoło i policzki. Ubrana była w prosty biały T-shirt, wąską czerwoną spódnicę oraz sandałki ozdobione białymi stokrotkami.

- Witaj, Mark - powiedziała nieśmiało.

Przyjrzał się jej uważnie. Stała przed nim śliczna młoda dziewczyna, może ciut za blada, o nieumalowanej twarzy, ale brak makijażu jedynie podkreślał jej naturalną świe-żość i urodę. Dziewczyna tak szczupła, że trudno mu było wyobrazić ją sobie z brzusz-kiem, który z tygodnia na tydzień będzie pęczniał. Na myśl o dziecku Mark poczuł gulę w gardle. Ponownie przełknął ślinę.

- Słuchaj, przepraszam, że ja tak bez pytania... - Sophie wykrzywiła usta w gryma-sie, po czym rozłożyła bezradnie ręce. - No wiesz, że wlałam do wanny, i w ogóle.

- Daj spokój, nie ma o czym mówić - mruknął bardziej szorstko, niż zamierzał.

Nie wiedział, jak się zachować. Czy na powitanie powinien uścisnąć jej dłoń? Spytać, jak minęła podróż? I czy dobrze znosi ciężę? Czy może powinien zgarnąć ją w ramiona, przytulić? Nie, to nie byłoby zbyt mądre, zważywszy, że jeszcze się nie umył.

Postąpiwszy krok w jej stronę, cmoknął ją lekko w policzek. Pachniała tak czysto, mydłem, szamponem i czymś jeszcze. Lawendą?

- Miło cię znów widzieć - rzekł.

Uzmysłowiwszy sobie, że koszulę ma rozpiętą, cofnął się na środek kuchni. Czuł się lekko zakłopotany. Tak wiele pytań cisnęło mu się na usta.

Głównie: po co przyjechałaś?

- Nie powinnam była zjawiać się bez zapowiedzi... No i włamywać się do twojego domu, ale... Wydawało mi się, że miałaś wrócić tydzień temu...

Pokiwał głową.

- To prawda, ale zatrzymały mnie nieprzewidziane okoliczności.

Uniosła pytająco brwi.

- Stado wpadło w popłoch. Pognało w najtrudniej dostępne tereny. Trochę to trwało, zanim zaprowadziliśmy z powrotem porządek.

Sophie nieco się odprężyła.

- Nieźle się namęczyłeś.

- Oj, nieźle. - Mark podniósł zmiętą kartkę papieru. - Mój zarządca musiał pilnie wyjechać.

- Wiem. Widziałam list, który zostawił.

Nagle coś tknęło Marka. Biedna Sophie mogła dotrzeć tu wiele dni temu...

- Kiedy przyjechałaś? - spytał.

- Dziś rano. Furgonetką pocztową.

- Furgonetką pocztową? - Pokręcił z uśmiechem głową. Wyobraził sobie elegancką Sophie Felsham, która przybywa z Londynu do małej zapyziałej Wandabilli i pyta o to, jak się dostać do Coolabah Waters.

- Nie gniewasz się, że skorzystałam z twojej łazienki? Wprawdzie mogłam z tej drugiej, ale...

- Nie krepuj się. Możesz śmiało z niej korzystać. - Przeczesał ręką włosy. Czując w nich piach, przypomniał sobie, że od wielu dni się nie mył.

Sophie obracała w palcach mały złoty medalion, który wisiał na jej szyi.

- Zazwyczaj nie włamuję się do cudzych domów...

Błysnął zębami w uśmiechu.

- Wiem. Masz nie ten kolor włosów - rzekł, po czym widząc jej zdziwione spojrzenie, wyjaśnił: - W bajce to Złotowłosa włamuje się do domku trzech misiów.

Z twarzą rozjaśnioną uśmiechem była tak nieziemsko piękna, że Mark aż przymknął oczy. Wskazała ręką na kuchenkę.

- Pozwoliłam sobie włożyć do piekarnika jedno z dań przyrządzonych przez twojego zarządcę.

- Bardzo słusznie.

Nastąpiła niezręczna cisza. Przez moment Mark zastanawiał się, czy spytać Sophie, co tu robi. Po co przyjechała? Czego oczekuje? Pieniędzy? Małżeństwa? Poparcia dla pomysłu usunięcia ciąży?

- Słuchaj... - Urwał, po czym zaczął od nowa: - Zostawię cię samą. Muszę się wykąpać. Mam na sobie chyba tonę pyłu.

- Oczywiście, mną się nie przejmuj. - Wzruszyła ramionami, ale jej twarz znów poczerwieniała.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Niepotrzebnie zdecydowała się na podróż.

Czuła się zagubiona. W Anglii Mark był zupełnie innym człowiekiem - kulturalny, zadbany, w ciemnym fraku wydawał się bardziej swojski, mniej przerażający.

Przed wyjazdem z Londynu sądziła, że dotrze do jakiegoś miasteczka leżącego niedaleko Coolabah Waters i wynajmie pokój w hotelu lub pensjonacie. Stamtąd zadzwoni na farmę, umówi się z Markiem w jakiejś sympatycznej knajpce, zjedzą lunch, porozmawiają.

Idiotka. Powinna była dokładniej wypytać o wszystko Tima; powiedziała by jej, czego należy się spodziewać w środku kontynentu australijskiego. Lecz Bogiem a prawdą wcale nie chciała za dużo wiedzieć. Podejrzewała, że zbyt realistyczny opis mógłby ją zniechęcić do podróży.

Co może nie byłoby takie złe.

W porządku, nie ma sensu gdybać. Trzeba stawić czoło rzeczywistości.

Rozejrzała się po kuchni. Zamiast tkwić beczynnienie, mogłaby się zająć czymś pozytywnym. Na przykład nakryć do stołu. W poszukiwaniu obrusa i serwetek otworzyła stary sosnowy kredens. Hm, ciekawe, czy Mark jada kolację w jadalni, czy w kuchni?

Jadalnia mieściła się naprzeciwko, po drugiej stronie korytarza. Przeszklone drzwi prowadziły na werandę. Podobnie jak większość pokoi, ten również był przestronny, lecz brzydki, o wyblakłych zielonych ścianach, na których nie wisiał ani jeden obraz. Właściwie cały dom miał surowy wygląd; wystrojem przypominał celę mnicha. Przydałoby się go odnowić, pomalować ściany, rzucić na kanapę jaskrawe poduszki, postawić wazony z kwiatami, umieścić w oknach kolorowe zasłony, powiesić jakieś obrazy, grafiki.

Czuło się brak kobiecej ręki.

Mogłaby... Nie, nie mogłaby. Jedno wiedziała ponad wszelką wątpliwość: nie potrafiłaby się tu zadomowić.

Zamknęła kredens, otworzyła szafkę. Jej oczom ukazał się stos obrusów, upranych, lecz nieuprasowanych. Starych, mdłych, nijakich.

Wyciągnęła szufladę. W niej z kolei znalazła czerwone maty oraz serwetki do kompletu. Idealnie. Przynajmniej są kolorowe. Sztućce zaś aż lśniły.

Mimo ułożonych na nim dwóch jaskrawych mat ogromny stół wyglądał jednak dość surowo. Warto coś by na nim postawić, wazon, świecznik, cokolwiek, aby zappełnić tę pustkę.

Niczego takiego nie znalazła.

Wykapany, ogolony, w czystym ubraniu, Mark stał na środku sypialni, spoglądając na swoje odbicie w lustrze. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

Na co Sophie liczy? Czego się spodziewa? Że się z nią ożeni? Chyba nie.

Nigdy nie uważał się za człowieka zbyt rodzinnego; właściwie już dawno doszedł do wniosku, że pisany jest mu żywot kawalera. Ciężko harował, późno wracał do domu, rzadko wyjeżdżał na urlop. Nie marzyło mu się małżeńskie życie. Może dlatego, że nie spotkał dotąd kobiety, która by mu odpowiadała i która byłaby skłonna zamieszkać z dala od cywilizacji. W buszu.

Najśmieszniejsze było to, że każda z australijskich dziewczyn, z którymi się spotykał w ciągu ostatnich dziesięciu lat, prędzej zaakceptowałaby trudy życia w Coolabah Waters niż kochająca wielkomiejski gwar wytworna Angielka o mleczonej skórze. Tylko że... żadna z Australijek nie była z nim w ciąży.

Zerknął ponownie na siebie. Twarz w lustrze zdradzała niepewność i zatroskanie. Skrzywił się i opuścił pokój.

Kiedy Mark pojawił się w kuchni bez zarostu na *twarży*, ubrany w wyprasowaną białą koszulę i jasne bawełniane spodnie, wyglądał na tak przystojnego, że Sophie dosłownie zapało dech. Czym prędzej odwróciła wzrok, chwyciła rękawice kuchenne i skierowała się do piekarnika.

- Pachnie wspaniale - rzuciła przez ramię, wydając ze środka duży półmisek. - Twój zarządca musi być świetnym kucharzem.

- Jest o niebo lepszy od gościa, który gotował nam podczas spędu. - Mark popatrzył na pusty stół kuchenny. - Zaraz nakryję...

- Nie trzeba. Nakryłam w jadalni.

Nie zdołał ukryć zdziwienia.

- Wolałbyś zjeść w kuchni? - spytała.

- Nie, możemy w jadalni. - Uśmiechnął się. - To bardziej odpowiednie miejsce dla córki sir Kennetha Felshama.

Sophie zaczerwieniła się.

- Może otworzyć butelkę wina? - Ruszył za nią do jadalni, niosąc podgrzane talerze.

Postawiła zapiekanekę na stole.

- Chętnie wypiłabym z tobą kieliszek, ale obawiam się, że nie mogę. - Kiedy popatrzył na nią z pytaniem w oczach, wskazała ręką na swój brzuch. - W ciąży alkohol nie jest wskazany.

- No tak, oczywiście. Nie pomyślałem. Zresztą nie przepadam za winem.

Podniosła wzrok, niepewna, czy Mark mówi serio, czy żartuje. Po chwili jednak to nie miało najmniejszego znaczenia. Ich spojrzenia się spotkały, Mark znów obdarzył ją uśmiechem, a jej zakręciło się w głowie. Pośpiesznie osunęła się na krzesło.

Mark również zajął miejsce, po czym zachęcającym gestem wskazał na półmisek. Drżącą ręką podniosła łyżkę. Podejrzewała, że to zauważył.

- Pewnie tak długa podróż dała ci się we znaki?

Sophie skinęła głową, zadowolona, że może zwalić winę na zmęczenie, po czym nałożyła sobie na talerz porcję wołowiny z pieczarkami. Miała nadzieję, że Mark należy do mężczyzn, którzy najpierw wolą zaspokoić głód, a dopiero potem omawiać poważne kwestie. Kiedy jednak podniosła wzrok, zobaczyła, że obserwuje ją z namysłem w oczach. Wskazała na jedzenie.

- Pewnie jesteś głodny? Jedz, zanim to pyszne danie wystygnie.

Posłusznie nabrał trochę na talerz. Zaczął jeść, ale po dwóch lub trzech minutach odłożył widelec i przetarł usta serwetką.

- Cały czas się zastanawiam, po co tu przyleciałaś. Przecież obiecałem ci, że zadzwonię, jak tylko wrócę do domu.

- Wiem, Mark. - Miała wrażenie, jakby kawał mięsa utknął jej w gardle. - Po prostu uznałam, że łatwiej nam będzie porozmawiać twarzą w twarz. Nie bardzo spodobał

mi się pomysł omawiania przez telefon tak delikatnych spraw jak alimenty czy częstość odwiedzin...

Serce waliło jej młotem. Przy stole zapadła grobowa cisza. Dopiero po dłuższej chwili Mark ją przerwał.

- A więc zamierzasz urodzić dziecko?

Wyprostowała się gwałtownie.

- Oczywiście.

Wydawało jej się, że odetchnął z ulgą, na jego twarzy nadal jednak malował się wyraz powagi. Ukryła rękę pod stołem i zacisnęła kciuki.

Mark zmrużył oczy.

- I nie masz cienia wątpliwości, że to ja jestem ojcem?

- Najmniejszych - odparła. - Jak możesz pytać?

Wzruszył ramionami.

- Chciałem się upewnić. Bo tak naprawdę to się nie znamy. Może stale to robisz.

- Niby co?

- Nie udawaj. Wiesz, o czym mówię.

- Nie, nie wiem.

Zacisnął usta. Chyba był lekko speszony.

- Może chadzasz do łóżka z obcymi facetami. Może lubisz przygodny seks.

Podskoczyła, jakby wymierzył jej bolesny cios. Przygodny seks z obcym facetem. Tak, właściwie do tego się sprowadzała ta cudowna noc, którą z sobą spędzili. Miała jednak nadzieję, że mówiąc o szaleństwie, jakiemu oddali się w Londynie, Mark wykaże nieco więcej taktu. Bądź co bądź tamtej nocy poczęli dziecko. Zauważył oburzenie na jej twarzy.

- Po prostu sędzę, że powinniśmy wyłożyć karty na stół - rzekł znacznie łagodniejszym tonem.

- Dziecko jest twoje, Mark. - Sophie uniosła dumnie brodę. - Nie mam zwyczaju puszczać się na prawo i lewo. Odkąd się rozstaliśmy, z nikim nie spałam. Myślisz, że leciałabym na drugi koniec świata, gdyby to nie było twoje dziecko?

Pokiwał wolno głową, po czym, jakby chciał ukryć wzruszenie, odwrócił wzrok.

- Jestem gotów wesprzeć cię finansowo. Cokolwiek będziesz potrzebowała...

- Dzięki. Prawdopodobnie będę musiała wynająć trochę większe mieszkanie. I nie wiem, czy zdołam pokryć wszystkie koszty związane z utrzymaniem malucha...

- Nie musisz. Dołożę się. - Zagiął róg czerwonej maty, by po chwili ją wygładzić. - Zakładam, że zamierzasz urodzić dziecko w Anglii? I wychowywać je samotnie... to znaczy przynajmniej przez jakiś czas?

Oczy ją zapiekły. O Chryste, chyba się nie rozplącze? Przecież pytanie Marka jest logiczne. Sensowne.

Wsiadając w Londynie do samolotu, nie brała pod uwagę możliwości zostania w Australii. Chociaż nie, nieprawda. W głębi duszy snuła wizję, że przyjeżdża na farmę, że się lepiej z Markiem poznają i postanawiają ułożyć sobie razem życie. Poczula się jak idiotka.

Mark odchrząknął.

- Chyba nie liczysz na to, że się pobierzemy?

- Ależ nie! Skąd! - zawołała bliska łez. Zamrugła oczami, usiłując nad sobą zapanować. Rany boskie, co się z nią dzieje? - Absolutnie nie liczę na żadne małżeństwo! Jak sam powiedziałeś, prawie się nie znamy.

Ledwo dostrzegalny uśmiech przemknął po twarzy Marka - przypuszczalnie na wspomnienie ich wspólnej nocy.

- Po prostu nie bardzo rozumiem, po co leciałaś taki kawał. Sprawę alimentów mogliśmy omówić przez telefon. - Jego ciemne oczy zdawały się przewiercać ją na wylot. - Dobra, Sophie. O co tak naprawdę chodzi?

Dobre pytanie.

Zamierzała na nie odpowiedzieć, ale kiedy tak na nią patrzył, groźnie marszcząc brwi, spieszyła się. Ba, poczuła pustkę w głowie!

- O co? - Oblizwała spierzchłe wargi. - Chyba o to, że szukam potwierdzenia. Chcę być pewna.

- Czego? - spytał zaskoczony.

Ratunku! Czy on naprawdę niczego nie rozumie? Czy nie widzi, jakie to wszystko jest trudne, skomplikowane?



- Pewna, że... - Zwilżyła usta. - Że istniejesz. Że sobie ciebie nie wymyśliłam. - Wbiwszy wzrok w talerz, zaczęła pośpiesznie tłumaczyć: - Mam potworny mętlik w głowie. Wszystko stało się tak nagle. To dziwne zająć w ciążę po jednej nocy...

Broda jej zadrżała. Tylko nie becz, przykazała sobie.

- To moja wina - powiedział Mark.

Nie całkiem, pomyślała, pamiętając, jak szaleńczo z nim flirtowała na weselu. Uśmiechnął się krzywo.

- Mogłem przynajmniej zostać jedną noc dłużej.

Chciała odwzajemnić jego uśmiech. Nie zdołała; wybuchnęła płaczem.

- Widzisz? O to mi chodzi. Nawet nie wiedziałam, że masz poczucie humoru.

Zakryła ręką oczy. Chwilę później usłyszała szuranie krzesła o podłogę i niski głos zamruczał nad jej uchem:

- Chodź tu do mnie.

Mark delikatnie podciągnął ją na nogi i zgarnął w ramiona. Stała z policzkiem przytkniętym do jego piersi, a łzy ciekły jej po twarzy.

- Ciii - szepnął, zasypując jej czoło pocałunkami.

- Przepraszam, Mark.

- Nie przepraszaj, wszystko w porządku. - Wolnym ruchem gładził ją po plecach.

- Nie chcę płakać.

- Mnie to nie przeszkadza. Całkiem mi miło trzymać cię w objęciach.

Opamiętała się i odsunęła. Natychmiast ogarnęła ją dziwna pustka. Wierzchem dłoni wysuszyła oczy.

Mark patrzył na nią z mieszaniną czułości i zatroskania.

- Powinna istnieć książeczka z instrukcjami, jak się zachować w takich różnych sytuacjach. - Wsunął rękę do kieszeni. - Sophie, nie wyjedziesz od razu, co? Zostaniesz jakiś czas?

Czy właśnie na takie słowa czekała? Miała ochotę go uciskać.

- To niegłupie. Przynajmniej zdołalibyśmy się trochę lepiej poznać - rzekła, po czym dodała pośpiesznie, jakby lękając się, że Mark może zmienić zdanie: - Ale długo nie mogę. Ktoś mnie zastępuje w pracy, poza tym mam poumawiane wizyty lekarskie...

Uśmiechnął się.

- Ale ze dwa tygodnie mogłabyś? Lepsze to niż jedna noc.

- Tak sądzisz?

- Winniśmy to naszemu dziecku.

- Chyba masz rację. Niezręcznie bym się czuła, mówiąc potomkowi, że nic nie wiem o jego ojcu poza tym, jak się nazywa i jakiego koloru ma oczy.

Były piwne. Spoglądały na nią tak intensywnie, że zalała ją fala ciepła.

- Wiesz o mnie znacznie więcej - zauważył Mark.

Dla własnego bezpieczeństwa zniżyła wzrok. Wciąż nie mogła uwierzyć, że tamtego wieczoru zachowywała się tak uwodzicielsko. Zupełnie nie jak ona.

Bała się. A jeśli zakocha się w Marku, a on nie odwzajemni jej uczuć? Nie chciała powtórki tego, co przeżyła z Oliverem. Wiedziała, że rozstanie z Markiem będzie o wiele bardziej bolesne.

- Zostanę dwa tygodnie - oznajmiła. - W tym czasie powinniśmy ustalić wszystkie szczegóły.

Mark wyszczerzył zęby w uśmiechu, po czym wyciągnął do niej rękę. Domyśliła się, że pragnie ją objąć, pocałować.

Czy to było rozsądne?

- Hej, co to za mina? - spytał.

- Ja... po prostu uważam, że nie powinniśmy, no wiesz...

- A dlaczego nie? - Przyciągnął ją do siebie. - Cięży nie musisz się już obawiać, prawda?

Oj, musi się mieć na baczności, pamiętać, że pobyt tu wiąże się z pewnym ryzykiem. Nie wiedziała, czy znajomość z Markiem może przerodzić się w coś trwalszego.

A gdyby tak się stało, to czy byłaby szczęśliwa, mieszkając na tym australijskim pustkowiu?

W pobliżu nie ma ani jednego sklepu. Żadnych przyjaznych twarzy. Od najbliższego miasteczka dzieli ich co najmniej osiemdziesiąt kilometrów.

Silne ręce Marka zacisnęły się wokół jej talii. Zanim zdołał wziąć ją w ramiona, Sophie zaparła się dłońmi o jego klatkę piersiową. Jeżeli ma wyjechać po dwóch tygodniach bez złamanego serca, musi być rozsądna i zdyscyplinowana.

- Powinniśmy się lepiej poznać jako przyjaciele, nie kochankowie - rzekła.

- A nie możemy jako jedni i drudzy?

Dreszcz przebiegł jej po plecach, krew zawrzała w żyłach. Mark wpatrywał się w nią uważnie, jakby usiłował odgadnąć jej myśli.

- Naprawdę tego chcesz? - spytał. - Żebyśmy po prostu zostali przyjaciółmi?

Nie! - miała ochotę krzyknąć, ale zmusiła się, by posłuchać głosu rozsądku.

- Wyjadę za dwa tygodnie, Mark. Po co mamy sobie jeszcze bardziej komplikować życie?

- A zatem będziemy przyjaciółmi - powiedział cicho, po czym przyłożył ręce do jej policzków, a ona poczuła, jak jej silna wola topnieje.

Usiłowała zaprotestować, ale Mark miał w sobie coś tak hipnotyzującego, że nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Dopiero w ostatniej sekundzie, kiedy dosłownie milimetr dzielił jego usta od jej warg, zdobyła się na słaby sprzeciw:

- Mark, nie powinniśmy!

- Cii.

Z trudem ignorując dreszcz rozkoszy, który przebiegł jej po krzyżu, podjęła kolejną próbę:

- Zgodziliśmy się na przyjaźń.

- To prawda - oznajmił z leniwym uśmiechem, po czym dokończył swoją wypowiedź pocałunkiem.

Usta miał ciepłe, pachniał mydłem i wodą po goleniu. Sophie przymknęła oczy - czyżby śniła? Duch oporu natychmiast z niej wyparował. Przyłgnęła do Marka całym ciałem, delektując się zmysłowym dotykiem jego warg i rąk.

Po paru minutach, które zdawały się nieskończonością, Mark uniósł głowę i popatrzywszy Sophie w oczy, uśmiechnął się szelmowsko. Drżąc z podniecenia, starała się przybrać groźną minę.

- Miałeś tego nie robić - oznajmiła z naganą w głosie.

- Przyganiał kocioł garnkowi.

Oj, tak. Odwzajemniała pocałunki z nieskrywanym entuzjazmem.

Próbowała wymyślić jakąś ciętą ripostę, która zmaszałaby bezczelny uśmiezek z jego twarzy, ale kręciło się jej w głowie. Zresztą cięte riposty nigdy nie były jej mocną stroną.

Po chwili, jak tylko ochłonęła i odzyskała rozum, uwolniła się z objęć Marka, zebrała ze stołu naczynia, przeniosła je do kuchni i umieściła w zmywarce. Potem, tłumacząc się zmęczeniem podróży oraz różnicą czasu między Londynem a Australią, udała się wcześniej na spoczynek.

Mark stał w oknie sypialni, wpatrując się w czarną, bezwietrzną noc. Przyjaźń. Dobrze sobie!

Oczami wyobraźni ponownie ujrzał drżące usta Sophie. Kiedy wziął ją w ramiona i zaczął całować, zareagowała nie mniej namiętnie niż tamtej nocy w Londynie.

Lecz pragnęła jedynie przyjaźni. A przynajmniej tak twierdziła, bo jej ciało mówiło coś innego.

Mark zaklął pod nosem.

Co ma robić? Jak może mieszkać pod jednym dachem z tak piękną, pociągającą kobietą i trzymać się na dystans?

Istna tortura.

Cała ta sytuacja nie powinna się była zdarzyć. On i Sophie powinni się byli pożegnać w Londynie, każde pójść w swoją stronę. Ona powinna była poznać miłego Anglika, takiego jak Tim lub któryś z jego kolegów na weselu, i go poślubić. On powinien był wrócić do domu i uporządkować swoje sprawy.

Zamiast tego Sophie, najcudowniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał, przyleciała do Australii. Będzie mieszkała u niego przez dwa tygodnie. Przez czternaście dni i nocy, a raczej wieczorów, będzie ją widywał, czuł jej zapach, marzył o tym, aby się z nią kochać.

Westchnął ciężko. Pewnie Sophie miała rację, chcąc uniknąć kolejnych komplikacji. Po dwóch tygodniach wyjedzie bez dodatkowego bagażu emocjonalnego. Ta jedna szalona noc, którą spędzili w Londynie, przysporzyła jej dość problemów.

Może byłoby inaczej, gdyby rozważali nawiązanie trwałego związku, ale oboje wiedzieli, że to bez sensu. On nigdy nie znalazłby porządnej pracy w Londynie, a ona zupełnie nie nadawała się do życia w Coolabah Waters.

Psiakrew! Przyjaźń to faktycznie jedyna opcja.

Pokręcił niezadowolony głową. Dlaczego podejmując słuszną decyzję, człowiek czuje się tak paskudnie?

Sophie leżała w łóżku, wpatrując się w zwisający z sufitu wiatrak. Nie włączyła go, bo po upalnym dniu noc była chłodna. Nie zaciągnęła też zasłon, żeby do pokoju wpadał srebrzysty blask księżyca. W tym świetle farba na ścianach nie wyglądała tak źle.

Sen nie nadchodził.

Rozmyślała o pocałunku Marka, o tym, jak niewiele jej brakowało, aby mu ulec. Rozmyślała również o nocy, którą spędzili razem w Londynie. Wtedy też za bardzo się nie opierała. Na samo wspomnienie oblała się rumieńcem.

Odkąd się rozstali, starała się wymazać tę noc z pamięci, ale to był chyba błąd. Skoro mają z Markiem mieszkać razem przez dwa tygodnie, tamta noc powinna służyć jako pewnego rodzaju przestroga...

# ROZDZIAŁ PIĄTY

- Wyjdźmy do ogrodu.

Od tego się wszystko zaczęło, od niewinnych słów, które pociągnęły za sobą lawinę zdarzeń.

Przyjęcie weselne dobiegało końca, Emma z Timem wyruszyli już w podróż poślubną.

- No chodź, goście wkrótce się zaczną rozjeżdżać. Świeże powietrze dobrze nam zrobi.

Sophie wiedziała, że Markowi wcale nie zależy na spacerze. Flirtowała z nim przez cały wieczór, więc nic dziwnego, że liczył na coś więcej. Ale ona wcale nie miała zamiaru mu ulegać.

- Powinnam pomóc mamie Emmy spakować jej suknię ślubną.

Mark wziął ją za rękę. Sophie poczuła dreszcz.

- Jest do pomocy cały tłum ciotek. Chodź, proszę. To należy do tradycji, aby drużba z druzną...

- Zatańczyli razem walca - oznajmiła Sophie, starając się zignorować podniecenie.

Mark uśmiechnął się; jego czarne oczy lśniły.

- A po walcu przeszli się po ogrodzie.

Pokręciła ze śmiechem głową.

- Australijskie dziewczyny dają się na to złapać?

- A żebyś wiedziała.

- Nie wierzę. Poznałam kilka. Są wybredne, jeśli chodzi o mężczyzn, z którymi się umawiają.

- A ilu znasz Australijczyków?

- Niewielu - przyznała.

- Tam, gdzie mieszkam, w środku kontynentu, wszystkie przyjęcia odbywają się na dworze. Pod gwiazdami.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że zaczynasz odczuwać klaustrofobię?

Rozciągnął usta w uśmiechu. W tym momencie Sophie wiedziała, że mu ulegnie. Ale nie zmartwiła się. Od wielu tygodni nie mogła się otrząsnąć z przygnębienia i wreszcie, po raz pierwszy od dawna, dobrze się bawiła.

Dobrze? Raczej fantastycznie. Kiedy tańczyła z Markiem, czuła się jak w siódmym niebie. W dodatku mina Olivera, kiedy spoglądał na nią ukradkiem, była bezcenna.

Nie opierając się dłużej, wyszła z Markiem do ogrodu. Potem, trzymając się za ręce, spacerowali wzdłuż Tamizy. Była szczęśliwa. Miała wrażenie, że wszyscy się na nich patrzą. Nic dziwnego. W ciemnym fraku Mark wyglądał świetnie, ona zaś w długiej zwiewnej sukni czuła się jak gwiazda filmowa.

Prawdziwych gwiazd, tych na niebie, nie mogli jednak podziwiać. Londyn był zbyt jaskrawo oświetlony, a budynki za wysokie.

Wędrowali przed siebie, rozmawiając z ożywieniem. Mark opowiedział jej o tym, jak się poznali z Timem. Otóż po studiach, a przed podjęciem pracy, Tim wyruszył do Australii w poszukiwaniu wielkiej przygody.

- W końcu zatrudnił się jako kowboj na mojej rodzinnej farmie nieopodal Rockhampton. Zaprzyjaźniliśmy się. Od tej pory utrzymujemy z sobą bliski kontakt.

- To dość niezwykle, zważywszy, że mieszkacie na dwóch przeciwnych półkulach - powiedziała Sophie. - Z drugiej strony mamy dziś telefony, mejle...

Skinął głową.

- To prawda. Ale często się też widzimy. Jeździmy na mecze krykieta albo na finały rugby.

Sophie z kolei opowiedziała Markowi o swojej przyjaźni z Emmą, z którą znała się od czasów przedszkolnych.

- Wynalazłam jej muzyków na ślub - ciągnęła. - Zajmuję się tym zawodowo, to znaczy prowadzę agencję, zatrudniam zespoły, piosenkarzy, kwartety smyczkowe...

- Któryś z obecnych na przyjęciu gości mówił mi, że masz mnóstwo muzyków w rodzinie. Oliver Pebble, nie, Pemble...

- Pembleton - poprawiła niezbyt entuzjastycznym tonem Sophie.

- O, właśnie. Uważał niemal za swój obowiązek poinformować mnie o twoich sławnych krewniakach.

- Tak, to w jego stylu.

- Jeśli dobrze pamiętam, twój ojciec jest dyrygentem, matka śpiewaczką operową, a siostry solistkami, które występują na scenach całej Europy?

Sophie skinęła głową.

- Niesamowite. Wstyd mi przyznać, że nawet o nich wcześniej nie słyszałem.

- Dzięki Bogu! - Roześmiała się wesoło i ścisnęła Marka za rękę. - Zazwyczaj godzinami muszę wysłuchiwać zachwyków nad moją rodziną i tłumaczyć się, że owszem, wszyscy Felshamowie są niezwykle utalentowani, lecz ja nie posiadani żadnych zdolności muzycznych i dlatego prowadzę agencję, a nie orkiestrę.

- No dobrze, może zdolności muzycznych nie masz, ale jakieś na pewno masz.

- Potrafię wyginać kciuk. O tak...

Zademonstrowała mu swą sztuczkę i oblała się rumieńcem. To było takie dziecinne.

Mark roześmiał się.

- Co jeszcze potrafisz? - spytał.

- Robić niesamowite desery.

- Naprawdę? To wspaniała umiejętność, której na przykład mój kucharz nie posiadał. Jak proszę o coś słodkiego, serwuje mi owoce z puszki albo lody. - Popatrzył na nią z miną zgnębnego chłopczyka.

- Och, biedaku - powiedziała Sophie, po czym popełniła brzemienny w skutkach błąd. - Mam w lodówce trzy czwarte pysznej tarty cytrynowej.

Oczy mu się zaświeciły.

- Daleko stąd do tej twojej lodówki?

- Żarłok! Przecież jadłeś już dziś deser.

- Wiem. Daleko?

Podawała adres. Zanim się zreflektowała, Mark zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

Można by uznać, że zachowała się naiwnie i nieodpowiedzialnie. Dotychczas nigdy nie zdarzyło jej się zaprosić do siebie człowieka, którego poznała parę godzin temu. Wiedziała, że to ryzykowne, ale całkiem świadomie wykonała skok na głęboką wodę.



Mark był superprzystojny, doskonale się razem bawili; prawdę rzekłszy, nie pamiętała, aby tak dobrze się czuła w towarzystwie jakiegokolwiek świeżo poznanej osoby.

W domu nałożyła Markowi wielką porcję cytrynowej tarty z bitą śmietaną; sobie wzięła malusieńki kawałek.

- Mmm, niebo w gębie. - Na twarzy Marka pojawił się wyraz zbliżony do rozkoszy. - Nigdy w życiu nie jadłem czegoś tak pysznego.

Sophie uśmiechnęła się radośnie.

- Mówiłam, że desery robię znakomite.

Wstawiła talerzyki i łyżeczki do zlewu, a kiedy odwróciła się, Mark stał tuż za nią.

I w tym momencie popełniła kolejny błąd.

Może mogła winić Olivera za to, że okazał się takim prosiakiem. Albo Emmę, że wyszła za męża. Odkąd skończyły dziewięć lat, planowały, że urządzą podwójne wesele. Może więc było jej smutno, że została na lodzie? Może też chciała zakosztować odrobiny romantyzmu?

A może zwyczajnie w świecie nie potrafiła oprzeć się urokowi Marka? Wszystko jedno.

- A ty, Mark? Jakie masz zdolności? - spytała cicho.

- Pokażę ci - odparł szeptem.

Tak, to były strasznie banalne, oklepane słowa. Ale w chwili, gdy je wypowiadał, nic a nic jej to nie przeszkadzało. Czuła gorący oddech na swojej szyi, na ustach. Zamknęła oczy. A kiedy Mark ją objął, kiedy ich ciała zlały się w jedno, przeskoczyła iskra. Ba, przeskoczyły tysiące iskier! I Sophie wiedziała, że nie puści Marka, dopóki nie pozna wszystkich jego talentów.

Jej solidny, misternie skonstruowany świat się rozpadł. Teraz, leżąc w pokoju gościnnym w Coolabah Waters z ręką przyciśniętą do brzucha, Sophie rozmyślała o konsekwencjach tej jednej cudownie romantycznej, szalonej nocy sprzed sześciu tygodni.

Księżyc przysłoniły chmury; pokój pogrążył się w mroku. Obłążącą farbę, wiatrak na suficie i wiklinowy fotel w rogu skryła nieprzenikniona ciemność. Nie było widać dosłownie nic. W dodatku Sophie nie pamiętała, gdzie jest kontakt. Poczwała narastającą panikę.

Z głębi domu dobiegło ją skrzywienie. Chryste, co to? Czyjeś kroki? Ze strachu włosy zjeżyły się jej na głowie.

To chyba nie Mark? Chyba nieproszony nie przyszedłby do niej do sypialni?

Dygocząc w ciemności, uświadomiła sobie, jak niewiele wie o ojcu swojego dziecka. W Londynie sprawiał wrażenie dżentelmena, to znaczy na przyjęciu, bo później w łóżku był namiętny i szalony. Dziś wieczorem, kiedy poprosiła go, żeby ją puścił, bo nie chce iść z nim do łóżka, posłusznie cofnął ręce. Ale czy na pewno może mu zaufać?

Rozległ się kolejny szmer. Zaczęła nasłuchiwać zbliżających się kroków. Czyżby Mark chodził po domu na bosaka?

Serce waliło jej jak młotem. Boże, dlaczego tu jest tak ciemno? Przebywa sam na sam z prawie obcym facetem na środku wielkiego australijskiego pustkowia. Idiotka!

W przeszłości nieraz kierowała się impulsem i wyczyniała różne szalone rzeczy, ale pomysł przyjazdu do Australii, w miejsce totalnie oddalone od cywilizacji, to szczyt szaleństwa.

Znów doleciało ją skrzywienie. Teoretycznie chłód nocy mógł sprawić, że skrzypiały stare deski podłogowe, które nagrzały się w ciągu dnia. Lub metalowy dach.

Ale leżąc w ciemności, w nie swoim domu, Sophie nie myślała logicznie.

Struchlała ze strachu wyskoczyła z łóżka. Po omacku, z wyciągniętymi przed siebie rękami, ruszyła w stronę drzwi. Uderzyła się nogą o krawędź komody, zanim wreszcie wymacała pod klamką duży staromodny klucz i przekręciła go w zamku.

Tej nocy Mark źle spał, w dodatku tuż po świcie obudził go dzwonek telefonu. Chwycił pośpiesznie słuchawkę, nie chcąc, aby ostry terkot zakłócił sen Sophie.

- Halo? - mruknął zaspanym głosem, opadając z powrotem na poduszkę.

Zdziwił się, gdy na drugim końcu linii usłyszał swojego przyjaciela Tima.

- Przepraszam, stary, że tak wcześnie dzwonię, ale Emma od dwóch godzin suszy mi głowę. Twierdzi, że nie zazna spokoju, dopóki nie dowie się, czy Sophie bezpiecznie dotarła do ciebie.

- Dotarła. Wczoraj. - Mark wsparł się na łokciu i zmrużywszy oczy, zerknął na budzik. Minęła piąta. - Cała i zdrowa.

- A, to dobrze.

Tim przekazał wiadomość żonie, po czym na moment zamilkł, słuchając kolejnych poleceń.

- Nie, słonko, nie powiem mu czegoś takiego - oznajmił po chwili scenicznym szeptem. - Oczywiście, że będzie dla niej miły.

Mark opadł na poduszkę i wznosił oczy do nieba.

- W porządku, Tim. Powiedz Emmie, że fajny ze mnie gość i na pewno nie wyrządę Sophie krzywdy.

Wystarczy, że nosi moje dziecko, dodał w myślach.

- Mówiłem jej, że niepotrzebnie się denerwuje - rzekł Tim. - Ale ona cały czas ma w pamięci to, co wcześniej spotkało Sophie.

- A co ją wcześniej spotkało? - Mark zmarszczył czoło. - Czyżby już raz była w ciąży?

- Nie, stary, nic takiego. Nie opowiadała ci o swoim eks?

Mark poczuł bolesny ucisk w piersi.

- Nie. A co z nim?

- Nic, po prostu to podły drań. Rzucił ją parę miesięcy temu, akurat gdy mieli ogłosić swoje zaręczyny.

- Serio?

- Sophie okropnie cierpiała - kontynuował Tim. - Ale już zupełnie ją dobiło, kiedy parę tygodni po rozstaniu facet przedstawił wszystkim nową narzeczoną.

Mark pokręcił w milczeniu głową.

- Dlatego tak bardzo się z Emmą cieszymy, że przypadliście sobie do gustu, ty i Sophie. Jest pewien kłopot z tą nieplanowaną ciążą, ale jestem przekonany, że coś wykombinujecie.

Mark przełknął ślinę; nie potrafił nic z siebie wydusić.

- Przynajmniej wiemy, że ty jej nie oszukasz.

- Nie, nie oszukam.

Zakończywszy rozmowę, przez chwilę Mark wpatrywał się w słuchawkę, po czym odrzucił na bok kołdrę i wstał z łóżka. Przemierzał pokój tam i z powrotem, świadom bolesnego ucisku w piersi.

Szlag by to trafił. Biedna Sophie. Rzucona przez jednego, zapłodniona przez drugiego. To się nazywa z deszczu pod rynnę. Westchnąwszy ciężko, przeczesał ręką włosy. Zapewnił Tima, że nie oszuka Sophie. To prawda; nie zamierzał jej zwodzić, czynić żadnych fałszywych obietnic. Ale czy to wystarczy?

Wczoraj wieczorem oboje stwierdzili, że małżeństwo nie wchodzi w grę, ale może w głębi duszy Sophie liczyła na to, że się jej oświadczy? A może po swoim poprzednim doświadczeniu autentycznie bała się wszelkich związków i zaangażowania?

Była spięta, kiedy wczoraj usiłował ją pocałować. Ale potem zaczęła odwzajemniać pocałunek.

Przypuszczalnie biedaczka miała nie mniejszy mętlik w głowie niż on.

Sophie spała do późna.

Kiedy o wpół do jedenastej wciąż nie wyłoniła się z pokoju, Mark zaparzył dzbanek herbaty, przygotował grzanki z marmoladą, wszystko postawił na tacy i tak zaopatrzony ruszył korytarzem do jej sypialni.

Zapukał do drzwi. Cisza. Nic dziwnego, pomyślał; po tak długiej podróży dziewczyna ma prawo być skonana.

Mimo to dreszcz niepokoju przebiegł mu po plecach.

Postawił tacę na podłodze i nacisnął klamkę. Zdumiał się, że drzwi są zamknięte na klucz. Zapukał ponownie, po czym zawołał:

- Sophie? Wszystko w porządku?

Ze środka nie dochodził żaden odgłos.

Poczuł narastający lęk. Przez moment zastanawiał się, co robić. Już miał zamiar mocnym pchnięciem wywalić drzwi z zawiasów, kiedy nagle usłyszał przytłumiony dźwięk.

W pokoju odezwał się cichutki głos, potem znów nastąpiła cisza. Wyobrażenia zaczęła podsuwać mu dziesiątki strasznych obrazów.

- Sophie! Co się dzieje?

Wreszcie rozległ się tupot nóg po drewnianej podłodze, klucz zazgrzytał w zamku i drzwi zaskrzypiały.

Sophie stała w progu w białej koszuli nocnej; wpadające oknem światło obryso-  
wywało jej szczupłą sylwetkę. Mark wciągnął z sykiem powietrze. Była piękna, idealnie  
ukształtowana. Dzięki Bogu, że postawił tacę na podłodze, bo zachwycony widokiem,  
jaki miał przed oczami, przypuszczalnie wypuściłby ją z rąk.

Odgarniając z czoła gęste czarne loki, dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało.

- Dzień dobry, Śpiąca Królewno.

- Ojej, która to godzina? - spytała, mrugając powiekami. - Zaspałam?

Mark wykazał podziwu godne opanowanie i nie oderwał wzroku od jej twarzy.

- Wpół do jedenastej. Nie byłem pewien, czy mogę cię już obudzić...

- Och, tak. Nigdy tak długo nie śpię. - Podniósł z podłogi tacę.

Sophie wytrzeszczyła oczy.

- To dla mnie? Jak miło, dziękuję. - Nagle oparła się o framugę drzwi i jęknąwszy  
cicho, jedną rękę przyłożyła do brzucha, drugą do ust.

- Co ci jest? - przeraził się.

- Muszę iść do łazienki - odparła szeptem, nerwowo odpychając go na bok.

Odsunął się pośpiesznie, robiąc jej przejście.

Potykając się, Sophie pognała przed siebie.

Psiakość, jeszcze wczoraj myślał o tym, jak ją uwodzi.

Fantazje to jedno, a życie to drugie, pomyślał, słuchając dochodzących z łazienki  
odgłosów. Właśnie tak będzie wyglądało życie Sophie Felsham przez najbliższych sie-  
dem miesięcy: poranne mdłości, powiększający się brzuch, wreszcie ból związany z po-  
rodem. A potem odpowiedzialność za maleństwo i dwudziestoczwierogodzinna opieka nad  
nim.

Chryste, ale się porobiło! Biedna Sophie usiłowała dojść do siebie po tym, jak ją  
facet rzucił, i co? On, Mark, był wszystkiemu winien, lecz nie miał pojęcia, na co Sophie  
liczy.

Nagle przyszło mu do głowy, że dwa tygodnie to strasznie mało czasu, aby znaleźć  
sensowne rozwiązanie.

Sophie poczuła się znacznie lepiej, kiedy umyła twarz, wyszorowała zęby i uczesała włosy. Wróciwszy z łazienki do pokoju, zdziwiła się, że Mark nie odszedł do swoich obowiązków. Nie tylko nie odszedł, ale przyglądał się jej z z troskaniem w oczach.

- Codziennie tak masz?

- No, prawie...

Potrząsnął głową.

- Nie fair, prawda?

- Mogłoby być gorzej. Mnie mdłości dopadają zaraz po wstaniu, innym kobietom dokuczają przez cały dzień. - Usiadła na brzegu łóżka i popatrzyła na tacę ze śniadaniem.

- Nie wiedziałem, czy będziesz miała ochotę coś zjeść - rzekł. - Chętnie zrobię ci nowe grzanki.

- Dzięki, nie trzeba. Te w zupełności wystarczą.

- Są zimne. - Sięgnął po tacę. - Za chwilę wrócę, u ty wskakuj z powrotem do łóżka.

- Rozpieszczasz mnie - zaprotestowała, ale posłusznie spełniła jego polecenie.

Przypomniała sobie, jak w środku nocy wstała i ze strachu przed Markiem zamknęła drzwi na klucz. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Nie miała powodu do obaw; Mark zachowywał się jak najczulszy, najtroskliwszy mąż.

Jednakże jego troskliwość trochę ją irytowała. Wiedziała, że to irracjonalne, ale zwyczajnie czuła strach, że może się w Marku zakochać, a potem cierpieć. Co będzie, jeśli po dwóch tygodniach dojdzie do wniosku, że najchętniej zostałaby z Markiem na zawsze, on zaś nie wykaże najmniejszej inicjatywy, aby ją u siebie zatrzymać?

Nie wygłupiaj się, zganiła się w myślach. Co ma być, to będzie.

- Świeża herbata i ciepłe grzanki - oznajmił Mark, wracając do sypialni. Postawił tacę na stoliku nocnym.

- Dziękuję, jesteś aniołem. Rycerzem w dżinsowej zbroi.

Ze speszonym uśmiechem wsunął kciuki do szlufek spodni.

- Nie będę ci przeszkadzał. Smacznego.

Nie pamiętała, aby kiedykolwiek jadła śniadanie w łóżku, chyba że sama je przyrządziła, a to się nie liczyło. W każdym razie dzisiejsze pochłonęła z apetytem, po czym ubrała się i odniosła tacę do kuchni.

Na moment przystanąła w progu, oszołomiona widokiem wysokiego kowboja w spranych dżinsach i niebieskiej koszuli z podwiniętymi rękawami, który zmywa naczynia. Natychmiast wyobraziła sobie, jak swoimi silnymi spracowanymi rękami zajmuje się niemowlęciem: kapie je, przewija, całuje w brzusek, gaworzy z nim.

O Chryste! Jeżeli natychmiast nie powściągnie fantazji, będzie miała duże problemy.

Na szczęście zadzwonił telefon, wyrrywając ją z zadumy. Mark wytarł ręce o ścierzkę i chwycił słuchawkę. Zmarszczywszy czoło, przez chwilę słuchał w skupieniu.

- Dobra. Już jadę.

Sophie nie odzywała się. Ciekawa była, o co chodzi. Dokąd Mark jedzie? Czy zabierze ją ze sobą? Rzucił jej posępne spojrzenie.

- To był mój sąsiad, Andrew Jackson. Ciężarówka pełna bydła przewróciła się, przejeżdżając przez strumień.

- Niedobrze. Są ranni?

- Chyba nie. Ale muszę jechać. Wypadek zdarzył się na moim terenie.

Sophie przełknęła ślinę. W Anglii na miejsce wypadku zaraz przyjechałaby policja, karetka, straż pożarna. A tu, w buszu, gdzie do najbliższego miasta są dziesiątki kilometrów, ludzie muszą polegać na sąsiadach. Trochę to przerażające.

- W jaki sposób zdołasz pomóc?

- Może pchając razem, uda nam się postawić ciężarówkę. Może wezmę ją na hol i podciągnę. Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Może są ranne zwierzęta...

- Sądzisz, że mogłabym się na coś przydać?

Uśmiechnął się.

- Nie. Odpocznij sobie.

No tak, pomyślała; uważa mnie za bezużyteczną Angielkę.

Nie chciała znów zostawać sama. Czy taki jest los wszystkich mieszkających tu kobiet? Że zajmują się domem, podczas gdy ich mężczyźni grają rolę bohaterów?

- Mark, co mogłabym zrobić?

Doszedłszy do siatkowych drzwi, zatrzymał się, obejrzał przez ramię, po czym wrócił na środek kuchni i ujął Sophie za łokieć.

- Dasz sobie tu radę, prawda? - spytał.

- Jasne - odparła, unosząc dumnie brodę.

Bała się być sama na tym pustkowiu, poza tym marzyła o tym, żeby spędzić z Markiem cały dzień, ale nie chciała narzekać. Trudno. Jakoś pokona strach. Zresztą cóż złego może się jej tu przytrafić?

- Może mogłabym ci chociaż przyszykować coś na drogę...

Popatrzył na nią z wdzięcznością.

- Cudownie. Nalej herbaty do termosu, a ja tymczasem załaduję kilka rzeczy do furgonetki.

- Dobrze.

Wczoraj szperała trochę po szafkach w kuchni, toteż dziś wiedziała, gdzie czego szukać. Nastawiła wodę w czajniku, a sama w tym czasie wyjęła pieczywo, masło, ser i ogórki. Kiedy Mark wrócił, wręczyła mu termos, zapakowane do torby kanapki, paczkę owsianych herbatników i pomarańcze.

- Przynajmniej nie będziesz głodny.

Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie, ale i radość.

- Dzięki.

Wolną ręką przyciągnął Sophie do siebie i cmoknął w czoło. Choć było to tylko lekkie muśnięcie, na całym ciele poczuła elektryzujące mrowienie.

Obróciwszy się na pięcie, z wieszaka na ścianie Mark chwycił kapelusz, nasadził go na głowę, po czym ruszył do zaparkowanej przed domem furgonetki. Sophie z trudem dotrzymywała mu kroku.

- Mogłabyś nakarmić psy? I wlać im wody do miski?

- Oczywiście - odparła, starając się ukryć zdenerwowanie. Jej kontakt z psami ograniczał się do pogłaskania miniaturowego pudła swojej mamy.



- Hm... - Mark zawahał się. - Monty'ego chyba zabiorę z sobą. Może się przydać do trzymania bydła w ryzach. Z tobą zostawię Blue Doga, tylko spuszczę go z łańcucha. Lepiej się będę czuł, wiedząc, że cię pilnuje.

- Dlaczego? Coś mi tu grozi?

- Z Blue Dogiem? Absolutnie nie.

Nie to chciała usłyszeć. Po chwili stała z rękami wspartymi na biodrach, patrząc, jak Mark wsiada do wozu; obok niej stał australijski pies pasterski o lekko niebieskawej sierści.

- Nie próbuj go głaskać; nie jest do tego przyzwyczajony - ostrzegł Mark, wychylając się z auta.

Sophie zerknęła na ostre kły. Bała się psa, otaczającej pustki, tego, że zostaje sama.

- Mark! Na pewno nie mogłabym się wam do czegoś przydać?

Nie odpowiedział. Zatrzasnąwszy drzwi, przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Mam całą kolekcję filmów! - zawołał przez okno. - Może znajdziesz coś dla siebie.

Wyszczrzył zęby w olśniewającym uśmiechu, pomachał na pożegnanie i odjechał, wzbijając chmurę kurzu.

Blue Dog siedział obok Sophie z wywalonym jęzorem i głośno dyszał. Nie zważając na słońce, które piekło ją w ramiona, patrzyła za samochodem podskakującym na wyboistej drodze. I pomyśleć, że jeszcze pół godziny temu leżała w łóżku, rozkoszując się śniadaniem.

Straciła rachubę, ile razy wychodziła na frontową werandę, osłaniała ręką oczy przed rażącym blaskiem słońca i wodziła wzrokiem po wysuszonej ziemi, wypatrując chmury kurzu, która oznaczałaby, że Mark wraca.

Tłumaczyła sobie, że nie ma czego się bać, tym bardziej że Blue Dog leży wyciągnięty na schodkach przed domem i strzygąc uszami, pilnuje obejścia.

Nie chciała się użalać nad sobą. Takie jest życie na farmie, powtarzała w myślach. Zaakceptuj to, staraj się dostosować. Mark wspomniał o kolekcji filmów. Nie, nie zasiądzie przed telewizorem niczym rozpieszczona nastolatka; znajdzie coś pożytecznego do roboty.

Nasypała psu do miski gotowej karmy, do drugiej wlała wody. Blue Dog wychleptał wszystko do dna, po czym ponownie zajął pozycję na schodach. W przeciwieństwie do pudła matki, był cichy, nie ujadął. Korciło ją, by go pogłaskać, ale na widok ostrych kłów szybko odeszła jej ochota.

Chociaż przed wyjazdem na południe zarządca Marka zamroził mnóstwo dań, Sophie postanowiła samodzielnie przygotować kolację. Po pierwsze, uwielbiała gotować, po drugie, podlała wszystkie kwiatki na werandzie i nie miała co robić, po trzecie, uznała, że gotowanie podziiała na nią kojąco.

Dla towarzystwa, żeby nie być skazana na ciszę, włączyła radio. Potem z ogromnej zamrażarki w kuchni wydobyla porcję mielonej wołowiny, z której przyszykowała lasagne. W spiżarni znalazła składniki potrzebne do biszkoptowo-owocowego ciasta nasączonego sherry, które również przyrządziła.

Następnie, opuściwszy kuchnię, zaczęła zwiedzać dom; wyobrażała sobie, jak by go można upiększyć: nowa farba, zasłony, ładne meble...

Po południu usiadła z kubkiem herbaty na werandzie, licząc, że może wreszcie doczeka się Marka. Zamiast niego zobaczyła stado strusi wędrujących po suchej trawie przed domem. Pies nie zwracał na nie uwagi.

Brzydkie to były ptaszyska, dość przerażające z wyglądu, o długich nogach, chudych nagich szyjach i tłustych cielskach pokrytych szarymi, strzępiastymi piórami. Oczy miały duże, wyłupiaste, dzioby proste, silne, pewnie ostre... Sophie wstała, zaczęła machać, żeby odgonić ptaszyska, ale one podchodziły coraz bliżej. Usiłowała sobie przypomnieć wszystkie informacje na ich temat.

Serce waliło jej jak młotem. Czy są niebezpieczne? Czy potrafiłyby wejść po schodach? Czy swoimi koszmarnymi dziobami mogłyby zadziobać ją na śmierć? Wystraszona, wbiegła do domu i dalszą obserwację prowadziła przez okno.

Nienawidzi tego miejsca! Wszystko tu, na tym pustkowiu, jest brzydkie i przerażające. Z trudem powściągnęła łzy. Tęskniła za Anglią, za soczystą zielenią wzgórz, za rozległymi dolinami, za łąkami pełnymi kwiatów, za szemrzącymi strumykami.

Co jej strzeliło do głowy, żeby lecieć do Australii?

Strusie długo krążyły przed domem, ale wreszcie im się znudziło i odeszły. Sophie zamierzała wziąć prysznic, kiedy ciszę popołudnia przerwał ostry dzwonek.

Modląc się, by to był Mark, rzuciła się do telefonu.

- Cześć, Sophie - powiedział przyjazny kobiecy głos. - Mówi Jill Jackson, sąsiadka Marka.

- A, dzień dobry!

- Dzwonię powiedzieć ci, że Mark jest już w drodze do domu.

Wzdychając z ulgą, Sophie osunęła się na taboret.

- Dzięki za wiadomość, Jill.

- Bardzo nam pomógł. Gdyby nie on, nie udałoby nam się postawić ciężarówki.

- Naprawdę? W takim razie zasłużył na kolację, którą mu przygotowałam.

Jill roześmiała się wesoło.

- O, zdecydowanie tak.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś. Dziękuję.

- Drobiazg. Uznałam, że Mark sam o tym nie pomyśli. Mężczyźni byli tak zaafekrowani wypadkiem, że... W każdym razie wiem, jak to jest, kiedy siedzi się w domu i czeka na jakąś wiadomość.

- Jestem ci bardzo wdzięczna. Czy... wciąż tam jesteś? Na miejscu wypadku?

- Tak. Przyjechałam w porze lunchu, z dodatkowym zapasem jedzenia, ale zaraz ruszam do domu.

No tak, Jill jest tubylcem, kobietą silną i odważną, przyzwyczajoną do trudów tujszego życia. Nie to co ona, Sophie, która bez protestu została z psem na farmie i uważała to za niemal heroiczny wyczyn.

- Ja i Andrew bardzo byśmy chcieli, żebyś wpadła do nas z Markiem - kontynuowała Jill. - Nawet wstępnie uzgodniłmy termin. Czwartek.

- To by było wspaniale. Dziękuję.

- Nie mogę się doczekać, żeby cię poznać.

Sophie zaskoczył serdeczny ton jej rozmówczyni.

- Naprawdę?

- Mark jest cudownym sąsiadem. I najmiłym facetem, jakiego znam. Nie licząc oczywiście Andrew. To co, do czwartku?

- Tak, do czwartku - obiecała Sophie.

Zastanawiała się, co takiego Mark powiedział swoim sąsiadom. Coś musiał, skoro Jill była taka podniecona wizytą.

Jak tylko usłyszała odgłos silnika, natychmiast wybiegła na werandę. Najpierw zobaczyła wielką chmurę kurzu, która zbliżała się do domu, potem zarys kapelusza z szerokim rondem, wreszcie barczyste ramiona. Serce zabiło jej mocno.

Mark pomachał na powitanie, skręcił za domem i zatrzymał wóz pod drzewem o rozłożystej koronie, dającej cień. Blue Dog zerwał się na nogi i niczym straża pomknął przywitać się ze swoim panem. Sophie ruszyła wolniejszym krokiem. Widziała, jak Mark wysiada z furgonetki, pochyła się i drapie psa za uchem.

- No co, piesku, grzecznie wszystkiego pilnowałeś?

- Ani na krok nie oddalił się od schodów - oznajmiła Sophie.

Mark uśmiechnął się do psa, po czym podniósł wzrok i spoważniał.

- Jak się czujesz?

- Świetnie. - O tym, że za nim tęskniła i że wystraszyła się strusi, nie zamierzała mu mówić.

- To dobrze. - Wyprostował się, zdjął kapelusz, przeczesał palcami włosy. - Uff! To był ciężki dzień.

Kolacja upłynęła w przyjemnej atmosferze. Mark jadł z apetytem, kilka razy pochwalił Sophie za jej zdolności kulinarne. Opowiedział jej o przebiegu dzisiejszych wydarzeń, a także o swoich sąsiadach, małżeństwie Jacksonów. Chciała spytać, co im mówił o niej, ale powściągnęła ciekawość.

Kiedy odnosili puste talerze do kuchni, nagle spostrzegła, że Mark przygląda się jej z zakłopotaniem.

- O co chodzi? - spytała.

- Z samego rana, jak jeszcze spałaś, dzwonił Tim. Potem źle się czułaś, a ja z kolei musiałem jechać do wypadku, i wszystko wyleciało mi z głowy.

- Ojej, miałam dać Emmie znać, że bezpiecznie dotarłam na miejsce. Całkiem o tym zapomniałam! Pewnie Tim chciał sprawdzić...

- Owszem, pytał o ciebie. Wie o dziecku.

- Emma mu się wygadała. A ja musiałam jej powiedzieć. To moja najlepsza przyjaciółka.

- Tim zrobił mi wykład. O tym, jaką jesteś miłą słodką istotą.

- Bo jestem. - Myjąc talerze, rzuciła Markowi przez ramię figlarny uśmiech.

- Wspomniał o twoim eks - dodał cicho Mark.

- O Oliverze? - Uśmiech znikł z jej twarzy. Wciąż z obrzydzeniem wymawiała to imię. - A po co?

Mark oparł się o blat kuchenny, skrzyżował ręce na piersi i przyglądał jej w milczeniu. Nie była w stanie niczego wyczytać z jego oczu.

- Pewnie powiedział ci, jak ze sobą zerwaliśmy?

- Tak. Zamierzaliście ogłosić zaręczyny, kiedy nagle koleś się rozmyślił.

Skinęła głową.

- Nieładnie się zachował.

- Oliver to dupek - oznajmiła.

- Oliver, hm... - Mars na czole Marka pogłębił się. - Na przyjęciu weselnym był jakiś gość o tym imieniu. Wysoki blondyn.

- Zgadza się. - Przyszedł z narzeczoną. Pamiętam poruszenie, jakie wywołał jej widok.

Sophie poczuła klucie w brzuchu. Zacisnęła ręce na krawędzi zlewu.

- Chyba mi nie powiesz, że ten Oliver na ślubie to właśnie twój były?

Sophie ponownie skinęła głową. Czowała się paskudnie. Obejrzała się przez ramię. Niestety domyśliła się, w jakim kierunku rozmowa zmierza.

- I to z jego powodu tak bardzo chciałaś tańczyć ze mną?

Przez moment milczała, jakby zahipnotyzowana gniewnym błyskiem w oczach Marka. Wiedziała, że powinna się bronić, ale nie potrafiła wykrztusić z siebie słowa.

- Mogłaś mnie uprzedzić, że próbujesz się na nim odegrać.

- Ja...

- Tak byłoby uczciwiej. Czyli co, tańczyłaś ze mną, flirtowałaś, a potem jeszcze poszłaś ze mną do łóżka, żeby zagrać Oliverowi na nosie?

Chciała ostro zaprotestować, ale jaki miałyby to sens, skoro Mark odgadł prawdę? Tylko że to nie była cała prawda.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Nie śmiała spojrzeć Markowi w twarz. Wbiła wzrok w podłogę. Serce waliło jej tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Odkąd poznała Marka, z każdą minutą darzyła go coraz większą sympatią. Miała nadzieję, że on ją lubi.

Prawdę mówiąc, w głębi serca liczyła na to, że uda im się stworzyć szczęśliwy związek. Ale jeśli nie zdoła rozwiać jego wątpliwości, równie dobrze może się spakować i wracać do Londynu.

Uniosła głowę i napotkała jego chmurne spojrzenie.

- Przyznaję, zaczęłam z tobą flirtować, by pokazać Oliverowi, że wcale nie cierpię po rozstaniu.

Mark nie drgnął. Jego twarz pozostawała maską, z której nic nie dawało się wyczytać.

- Muszę iść do psów - rzekł po chwili, odwracając się na pięcie.

- Jeszcze nie skończyłam. Musisz zrozumieć, tamtego wieczoru miałam mętlik w głowie, ale kiedy...

- Nie pogarszaj sytuacji - warknął. - Wszystko doskonale rozumiem. - Pchnął siatkowe drzwi i wyszedł w mrok nocy.

Wybiegła za nim. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Na werandzie nagle przystanąła. Bardzo chciała dogonić Marka, lecz za domem było ciemno jak w grobie.

A Mark znikł z pola widzenia.

Ratunku. Na pewno żyje tu mnóstwo węży i pajaków. W dodatku z zagrody dolaływał mrozący krew w żyłach ptasi skrzek, który przypominał szloch matki rozpaczającej nad martwym dzieckiem.

- Mark, zaczekaj!

Z ciemności doleciał ją autorytatywny głos.

- Wróć do środka, Sophie!

To nie była prośba, lecz polecenie. Sophie cofnęła się posłusznie do jasno oświetlonej kuchni, gdzie nic jej nie groziło.

Czekając na powrót Marka, wstawiła naczynia do zmywarki, po czym zaparzyła dzbanek herbaty i wypila kolejno dwie filiżanki. Mark nie nadchodził. Najwyraźniej cechuje go zacięty upór i wyniosła duma. Sophie domyśliła się, że jej unika; wreszcie uznała, że lepiej rozmowę odłożyć do jutra.

Wstała zrezygnowana i udała się do sypialni. Miała nadzieję, że rano Mark zechce wysłuchać, co ma mu do powiedzenia.

TLR

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Z samego rana znów zadzwonił telefon. Mark akurat wszedł do kuchni. Źle spał tej nocy i nie miał ochoty na pogawędkę. Chwyciwszy słuchawkę, przyłożył ją do ucha.

- Halo? - warknął gniewnie.

- Czy dodzwoniłam się do Coolabah Waters? - spytał z angielskim akcentem niski, kulturalnie brzmiący kobiecy głos.

Mark domyślił się, że kobieta na drugim końcu linii będzie chciała rozmawiać z Sophie, ale ta - sądząc po dźwiękach dochodzących z łazienki - stała pochylona nad sedesem zajęta porannymi mdłościami.

- Owszem. Mówi Mark Winchester.

- Eliza Felsham z tej strony. Podobno moja córka złożyła panu niedawno wizytę?

Mark poczuł dziwny ucisk w gardle. Psychicznie nastawił się na to, że prędzej czy później będzie musiał odbyć rozmowę z ojcem Sophie; jakoś nie brał pod uwagę jej matki.

- Sophie nadal tu jest, lady Elizo - rzekł, przełknąwszy ślinę. - Przypuszczam, że chciałaby z nią pani porozmawiać?

- Owszem. Ale, jeśli wolno, najpierw chciałabym panu zadać kilka pytań.

Słyszając nieznoszący sprzeciwu ton, Mark poczuł się jak uczeń wezwany do gabinetu dyrektora.

- Oczywiście. - Wziął głęboki oddech. - Proszę pytać.

Przygotował się na najgorsze. Czy to prawda, że to dzięki panu moja ukochana córka jest w ciąży? Czy w Australii obce jest wam pojęcie bezpiecznego seksu?

- Mark, gdzie konkretnie w Australii pan mieszka?

Pytanie zbiło go z tropu.

- Mam farmę hodowlaną w północno-zachodniej części Queenslandu.

- Jak się nazywa najbliższe miasteczko?

- Wandabilla.

- Wanda co? Może pan przeliterować?

Spełnił prośbę.



- Hm, nie widzę go na mapie - oznajmiła Eliza Felsham. - A jakieś inne miasto? Trochę większe?

- Może Mount Isa - rzekł.

Na drugim końcu linii usłyszał szelest kartek, jakby kobieta przewracała strony w atlasie.

- Doskonale, znalazłam! - ucieszyła się. - O mój Boże! - Zamilkła na dobrych kilka sekund. - Mieszka pan... na całkowitym odludziu.

- Owszem, Coolabah Waters leży z dala od cywilizacji, ale proszę się nie martwić o bezpieczeństwo córki, lady Elizo. Sophie jest w dobrych rękach.

- Miło mi to słyszeć, Mark. - Jej głos brzmiał zaskakująco przyjaźnie.

- Pójdę po Sophie.

- Dziękuję.

Oddalił się korytarzem do łazienki, po czym zapukał do drzwi.

- Sophie?

Nie odpowiedziała. Zapewne po tym, jak wczoraj wyszedł w trakcie rozmowy, wciąż była na niego zła.

- Sophie! - zawołał głośniejszym, nerwowo zastanawiając się, jakie kłamstwa będzie musiał podać lady Elizie, jeżeli Sophie nie zdoła podejść do telefonu.

Odetchnął z ulgą, kiedy blada i zmęczona, jakby w nocy nie zmrużyła oka, wyłoniła się z łazienki.

- Dzwoni twoja mama. Podejdiesz do telefonu?

Przymknąwszy oczy, jęknęła cicho, po czym nagle zatrzepotała rzęsami.

- Wie o ciąży?

Mark rozłożył bezradnie ręce.

- Nie mam pojęcia.

- Błagałam Emmę, żeby jej nic nie mówiła.

- Myślę, że nie wie. Rozmawiała ze mną całkiem spokojnie. Słuchaj, możesz skorzystać z telefonu w gabinecie. Odwieszę słuchawkę w kuchni.

Skierowała się do gabinetu. Czowała się paskudnie. Te trzy rzeczy - różnica czasu między Anglią a Australią, poranne mdłości i wczorajsze nieładne zachowanie Marka - okazały się zabójczą mieszanką.

Przytknęła słuchawkę do ucha.

- Cześć, mamó. Jak się miewasz?

- Znakomicie, kochanie. Oczywiście jestem trochę zdziwiona. Nie sądziłam, że po powrocie z Mediolanu znajdę nabazgraną kartkę z informacją, że lecisz na wypoczynek do Australii. To dość nagła decyzja, prawda?

- Można tak powiedzieć.

- Zostawiłaś tylko ten numer telefonu, żadnych więcej wyjaśnień. Czy coś się stało, kochanie? Masz taki posepny głos...

- Nie, mamó, wszystko w porządku - odparła Sophie, starając się mówić bardziej entuzjastycznie. - Australia jest fantastyczna.

- To dobrze. - Eliza na moment zamilkła. - Jak długo zamierzasz zostać na farmie Marka Winchestera?

Po wczorajszym wieczorze Sophie nie była pewna.

- Około dwóch tygodni.

Na drugim końcu linii ponownie nastąpiła cisza. Po czym padło pytanie:

- Kiedy, kochanie, poznałaś pana Winchestera?

- Ze dwa miesiące temu - odpowiedziała Sophie. - A dokładnie to na ślubie Emmy i Tima. Mark był drużbą.

- Ach, tak? Czyli jest przyjacielem Tima?

- Zgadza się.

Matka odetchnęła z ulgą.

- W takim razie musi być sympatycznym młodym człowiekiem. Przyznam, kochanie, że ma piękny głos. Głęboki baryton. Prawie bas.

- Faktycznie.

- Domyślałam się, że jest wysoki?

- Całkiem.

- Ciemnowłosa?

- Tak, mammo.

Ku najwyższemu zdumieniu Sophie jej matka wydała błogie westchnienie.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję, że twój tata i ja musieliśmy wyjechać do Szwecji i nie mogliśmy być na ślubie Emmy. Zadzwoń do niej i poproszę, żeby mi chociaż zdjęcia pokazała.

Sophie jęknęła w duchu. Matka była zbyt podniecona, zupełnie jakby słyszała w głowie dźwięki marsza weselnego.

- Mammo, mnie i Marka łączy jedynie przyjaźń.

- Oczywiście, kochanie. A ta jego farma hodowlana jest tak fascynująca, że wolisz na niej tkwić, zamiast zwiedzać Sydney, Uluru lub Wielką Rafę?

- Nie mam tyle pieniędzy, żeby urządzać wycieczki do turystycznych atrakcji.

- Dużo ludzi mieszka na Coolabah? Z tego, co się orientuję, bogaci farmerzy mają ogromny personel.

Sophie otarła z czoła pot. Słuchawka niemal wysliznęła się jej z wilgotnej dłoni.

- Mark zatrudnia zarządcę, ale... - Zerknęła nerwowo za siebie. - Ale facet musiał nagle wyjechać.

- Och, co za pech! Czyli dwa tygodnie zamierzacie spędzić we dwoje?

- No... tak.

- Kochanie, będziesz rozsądna, prawda?

- Oczywiście, mammo.

- Nie zniosłabym, gdyby jakiś drań znów ci złamał serce.

- Nie złamie. Bądź spokojna. Wkrótce się zobaczymy.

Na szczęście matka więcej nie drażyła tematu.

- Dobrze, kochanie. Zatem życzę ci udanego pobytu.

- Dzięki za telefon, mammo. Uściskaj ode mnie tatę.

Odłożywszy słuchawkę, Sophie opadła na fotel przy biurku. Aż do dzisiejszego ranka starała nie myśleć o rodzicach, o ich reakcji. Teraz zobaczyła przed oczami swoją inteligentną piękną mamę powtarzającą ojcu przebieg rozmowy z najmłodszą córką.

Sir Kenneth nie da się tak łatwo udobruchać, a już na pewno nie ulegnie czarowi wspaniałego barytonu Marka.

W dodatku, kiedy matka zobaczy zdjęcia ze ślubu, a na nich niesamowicie przystojnego drużbę we fraku, będzie przekonana, że Sophie zakochała się w Marku bez pamięci. I zacznie wałkować biedną Emmę.

Emma zaś wie o ciąży.

Boże, ratuj!

Sophie poderwała się od biurka i ile sił w nogach pognąła do kuchni.

- Mark!

Smażył coś na patelni. Odwrócił się.

- Wszystko w porządku?

- Teoretycznie.

- Mama wie o dziecku?

- Jeszcze nie. Ale muszę natychmiast zadzwonić do Emmy i uprzedzić ją, że mama zasypie ją pytaniami.

- Proszę bardzo. Dzwon.

Był uprzejmy, w jego głosie nadal jednak wyczuwała chłód. Wróciwszy do gabinetu, wykręciła numer przyjaciółki. Zastanawiała się, czy zdoła przekonać Marka, że wcale nie służył jej jako narzędzie zemsty na Oliverze. Chciałaby.

Numer Emmy był zajęty.

- Psiakość. Czyżby mama już ją dorwała?

Zamiast panikować, Sophie uznała, że zadzwoni na komórkę przyjaciółki. Nawet jeśli Emma rozmawia przez telefon stacjonarny, może odbierze. Nigdy nie wiadomo. Przygryzła wargę. Czekala.

- Halo?

Odetchnęła z ulgą.

- Emmo, to ja, Sophie.

- Co za dziwny zbieg okoliczności. Wyobraź sobie, że właśnie rozmawiam przez telefon z twoją mamą. - Cholera, uprzedziła mnie! Chciałam cię ostrzec. I co, magluje cię o Marka?

- I to jak!

Sophie pokiwała współczująco głową.

- Nie wygadasz się, co?

- Nie martw się, Sox. Będę trzymać język za zębami. Ale kończę już, dobra? Bo właśnie opowiadam twojej rodzicielce, jak szalenie przystojnym kawalerem do wzięcia jest Mark Winchester.

- Do wzięcia? Przecież nie zamierzam się za niego wydawać!

- Wielka szkoda.

Sophie rozłączyła się. Na myśl o matce i przyjaciółce plotkujących o niej w najlepsze zrobiło jej się słabo. Psiakość, za chwilę ojciec i siostry też będą wiedzieli, jakim to przystojnym kawalerem jest Mark. Cała rodzina będzie święcie przekonana, że Sophie zakochała się po uszy. W przeciwnym razie po co by leciała do Marka na drugi koniec świata?

Oczywiście po tym, jak ją Oliver potraktował, będą siedzieć jak na szpilkach, denerwować się, że kolejny facet złamie jej serce. Że znów spotka ją porażka.

Sophie ruszyła z powrotem do kuchni. Musi wyjaśnić wczorajsze nieporozumienie. Bo inaczej jej przyjazd do Australii faktycznie można będzie uznać za porażkę.

Kiełbaski i pomidory, które podsmażał na patelni, były niemal czarne, ale Mark, pogrążony w myślach, zdawał się tego nie zauważać.

Wciąż nie mógł ochłonąć po wczorajszej rozmowie. Sądził, że Sophie przyleciała taki kawał drogi ze względu na niego: bo jej się podoba i pragnie kontynuować znajomość. Ależ był naiwny! Naprawdę wierzył, że oboje wpadli sobie w oko na ślubie Emmy i Tima.

Ze zranionym ego uciekł wczoraj do szopy i udając, że naprawia traktor, zastanawiał się nad sytuacją.

Prawdę rzekłszy, nie miał pojęcia, co Sophie czuje. Przeszkadzała mu jednak świadomość, że posłużyła się nim, aby zemścić się na byłym narzeczonemu. Tylko że ta zemsta zemściła się na niej samej.

W dodatku wszyscy - Tim, Emma, lady Eliza - obawiali się, czy Sophie znów nie będzie cierpiała.

Cholera jasna. Z jednej strony, był bliski zakochania się w dziewczynie, którą interesował wyłącznie z powodu dziecka, jakie niechcący razem spłodzili. Z drugiej, był na nią wściekły. Z trzeciej zaś, było mu jej żal; chciał ją chronić, osłaniać.

Miał wrażenie, jakby balansował na linie; ważny był każdy krok. Wiedział, że musi podjąć decyzję głową, nie sercem. A zatem nie powinien się łudzić, że w ciągu dwóch tygodni rozkocha w sobie Sophie, ani marzyć o jej kuszących ustach i ponętym ciele.

Powinien za to pamiętać, że Sophie i tak nie chciałyby mieszkać w Australii. W tej sytuacji musi otoczyć ją troskliwą opieką, obiecać jej wsparcie finansowe i to, że będą w stałym kontakcie, a po dwóch tygodniach odesłać do Anglii.

Podczas śniadania panowało krępujące milczenie. Sophie postanowiła zaczekać, aż Mark skończy jeść i dopiero wtedy podjąć niedokończoną rozmowę. Miała sporo czasu do namysłu, teoretycznie wiedziała, co chce powiedzieć, ale wciąż nie była pewna, czy zdoła przekonać Marka.

Patrzyła zdenerwowana, jak Mark dopija resztkę kawy i odstawia pusty kubek.

- Pomyślałem sobie - rzekł neutralnym tonem - że może chciałabyś obejrzeć moją posiadłość. To znaczy, jeśli czujesz się na siłach?

Sophie wzięła głęboki oddech.

- Najpierw chciałabym ci coś wyjaśnić.

- Co? - Zaczął zbierać ze stołu talerze.

- Proszę, Mark, popatrz na mnie.

Powoli uniósł głowę. Serce zabiło Sophie mocniej, kiedy zobaczyła bijący z jego twarzy chłód.

Spokojnie, przykazała sobie. Skup się, nie popełnij kolejnego błędu.

- Owszem, zaczęłam z tobą flirtować na weselu, żeby zemścić się na Oliverze. Ale zapraszając cię później do mojego mieszkania, nie myślałam o Oliverze. Myślałam wyłącznie o tobie, o nas.

Wyciągnęła rękę i niepewnie pogładziła jego palce.

- Poszłam z tobą do łóżka, bo mi się podobałeś. Bo nie mogłam ci się oprzeć. Nie kierowała mną chęć zemsty.

Nie zaprotestował. Powoli nabierając coraz większej pewności siebie, kontynuowała:

- Jesteś atrakcyjnym, piekielnie pociągającym facetem, Mark. A jeszcze w tym fraku... Po prostu straciłam dla ciebie głowę.

Wreszcie spojrzał jej głęboko w oczy.

Sophie wstrzymała oddech. Boże, niech uwierzy, że ona mówi prawdę!

Kąciaki ust mu zadrżały, jakby usiłował zachować powagę.

- Aha! Czyli podbój zawdzięczam frakowi?

- Wyglądał pan w nim olśniewająco, panie Winchester.

- A pani prześlicznie w sukni druhny, panno Sophie.

- Serio?

- Przysięgam.

Promienny uśmiech rozjaśnił mu twarz.

Sophie odetchnęła z ulgą. Mark również.

Wczoraj może by padli sobie w ramiona. Dziś byli bardziej ostrożni.

Mark przeniósł naczynia do zlewu. Krok miał lekki, sprężysty.

- A jeśli chodzi o zwiedzanie farmy... jesteś zainteresowana?

Zaraz po jej przyjeździe do Australii zadowoliliby ją szybki, powierzchowny ogląd Coolabah Waters, ale od czasu rozmowy z Jill ciekawiło ją codzienne życie na farmie hodowlanej. Chciała zaimponować Markowi, pokazać mu, że potrafiłaby się tu wpasować.

- Masz czas na wycieczkę krajoznawczą? - zapytała. - Nie było cię tu dwa tygodnie, na pewno nagromadziło się sporo roboty.

Uniósł zdziwiony brwi.

- Muszę dość pilnie naprawić ogrodzenie - przyznał. - Ale to mi zajmie cały dzień. Znów zostałabyś sama.

- A nie mogłabym ci towarzyszyć?

Popatrzył na nią tak, jakby oznajmiła, że chce przejść na bosaka przez pustynię Simpsona.

- Jest gorąco. Nie wytrzymałabyś.

- Na pewno bym sobie poradziła.

- Jesteś w ciąży.

- Co nie znaczy, że jestem z porcelany.

- Dziś rano znów dopadły cię mdłości! Poza tym obiecałem twojej matce, że będę się tobą opiekował.

- Mark, dobrze się czuję. I chciałabym ci towarzyszyć podczas pracy.

Westchnął.

Sophie wsparła ręce na biodrach. Czekwała. Powiódł wzrokiem po jej stroju: dżinsowych szortach i cienkim bawełnianym topie.

- W tym stroju to wykluczone. Zaraz byś się spiekła. Masz długie spodnie i koszulę z długimi rękawami?

- Spodnie tak, ale koszuli nie.

- Dam ci jedną z moich. Włóżysz ją na swój top. Dla ochrony przed słońcem.

Gdyby zaszła taka potrzeba, włożyłaby na siebie namiot!

Popatrzył na jej ozdobione stokrotkami białe sandałki.

- Wzięłaś z sobą jakieś solidniejsze obuwie?

- Mogą być tenisówki?

- Od biedy. A kapelusz masz?

- Tak.

- Porządny? Z szerokim rondem?

- Nie bardzo szerokim. Wzięłam taki, który mogłam złożyć i schować do walizki.

Ale jeśli usunę z niego stokrotki...

Wybuchnął śmiechem.

- Zostaw stokrotki. Dam ci swój. Może nie tak ładny, ale przynajmniej skutecznie osłoni ci twarz.

Pół godziny później Sophie, ubrana w luźną niebieską koszulę z kieszeniami na piersiach i kapelusz z rondem wielkim jak weranda, doceniła troskę Marka. Stała w ostrym słońcu na środku ogromnego wyschniętego pola i patrzyła, jak Mark odmierza krokami odległość między metalowymi słupami, które na jej oko wyglądały strasznie



niepozornie. W Anglii stawiano kamienny mur lub budowano solidne drewniane ogrodzenia.

- Dlaczego nie używasz drewna?

- Bo tutejsze mrówki w mig by się z nim uporały. - Włożył skórzane rękawice i ze skrzyni furgonetki zaczął wyciągać rolki drutu kolczastego. - Drewna ze specjalnych drzew odpornych na termyty używamy do słupów przy bramie, ale tu lepsze są metalowe pręty.

- Sam dbasz o ogrodzenia? Ciągają się setkami kilometrów.

- Do budowy nowych korzystam z fachowców. To, co teraz robię, to drobna naprawa.

- Odpowiednik wymiany żarówki? - zażartowała.

Błysnął zębami w uśmiechu.

- Jak mogę pomóc?

Zawahał się dosłownie sekundę, po czym wręczył jej parę rękawic.

- Przytrzymaj słup, a ja wbiję go mocniej w ziemię. Tylko trzymaj mniej więcej w połowie wysokości.

Kucnąwszy, zacisnęła ręce na słupie. Mark przystąpił do pracy. Koszula opinała mu ciasno ramiona. Dół wysunął się ze spodni, odsłaniając kawałek pleców. Nic dziwnego, że jest tak wspaniale zbudowany, przemknęło Sophie przez myśl. Podziwiała jego szczupłe biodra, muskularne uda, cudowne mięśnie. Jak ktoś wykonuje tego rodzaju pracę, nie musi trenować na siłowni.

Obrócił się do niej twarzą, a ona czym prędzej skierowała wzrok w przeciwną stronę. Nie zdążyła. Przypuszczalnie zauważył, jak lustruje go od stóp do głów.

- Idziemy do następnego?

- Jasne.

Kiedy wszystkie słupy tkwiły solidnie w ziemi, Mark zaczął mocować siatkę. Sophie nie mogła oderwać od niego oczu. Ruchy miał sprawne, zwinne. W miarę jak ogrodzenie nabierało właściwego kształtu, czuła coraz większą satysfakcję. W porządku, może jej udział w tym przedsięwzięciu był minimalny, ale tworzyli całkiem zgrany zespół.

Potem Mark wyjął z samochodu koc i rozłożył go na ziemi w cieniu eukaliptusa. Zjedli kanapki i wypili herbatę z termosu.

- Powinnaś odpocząć, zanim ruszymy w drogę powrotną.

Nie zamierzała się kłócić. Wyciągnęła się na wznak i popatrzyła przez gałęzie na błękitne niebo. Nie było na nim ani jednej chmurki.

- Niebo dziadka - szepnęła, wypowiadając na głos swoje myśli.

- Słucham? - Mark, który siedział oparty plecami o drzewo, przyjrzał się jej z roz-  
bawieniem w oczach.

- Ilekroć widzę taki idealny błękit, przypomina mi się mój dziadek. W Anglii niebo zazwyczaj bywa zasnuwane chmurami, ale kiedyś w dzieciństwie pojechałam do dziadka na wieś. I podczas spaceru zobaczyliśmy pogodne bezchmurne niebo. - Wskazała przed siebie. - Takie jak to, w kolorze intensywnego błękitu. I wtedy dziadek poprosił, że jak kiedykolwiek zobaczę piękniejsze, to mam mu o tym napisać.

- Napiszesz?

- Nie mogę. Zmarł dwa lata temu.

- Pewnie sympatyczny był z niego gość?

- Och, tak. Uwielbiałam go.

Na moment zamilkła. Patrzyła na stadko barwnie upierzonych małych ptaszków, które przysiadło na sąsiednim drzewie.

- Dziadek i ja nie pasowaliśmy do reszty rodziny - ciągnęła. - Na niedzielnych lunchach mojej mamy nudziły nas te nieustannie rozmowy na tematy muzyczne, więc zwykle wymykaliśmy się do ogrodu, a czasem do miasta. Dziadek pozwalał mi się opychać ciastkami i nigdy mnie przed mamą nie wsypał.

Mark roześmiał się cicho, a ona przekreśliła się na bok, żeby go lepiej widzieć.

- Ostatniego lata przed śmiercią dziadka zabrałam go do Szkocji. Siadywałam nad brzegiem rzeki, czytając książki, a on godzinami, przez nikogo nie poganiany, łowił pstrągi.

- Szczęściarz. - Po twarzy Marka przemknął cień. - Mój ojciec zginął pięć lat temu, walcząc z ogniem. Całe życie ciężko pracował. Żałuję, że nigdy nie zabrałam go do Szkocji ani gdziekolwiek na wypoczynek.

- Może wystarczyło mu, że mieszka na pięknej farmie.

- Może. - Mark uśmiechnął się z wdzięcznością. - Rodzice bardzo się kochali.

Mama zmarła półtora roku później, teoretycznie na zawał, ale moim zdaniem za bardzo tęskniła za ojcem.

- To wzruszające... - Na myśl o rodzicach Marka, których łączyła tak wielka miłość, Sophie poczuła gulę w gardle.

Być razem z ukochanym człowiekiem...

Leżała, pocierając ręką swój płaski brzuch i fantazjując o życiu małżeńskim u boku Marka Winchestera. Mark nie spuszczał z niej oczu.

- Ciekawe, co tam w tobie rośnie: chłopiec czy dziewczynka?

- Zastanawiasz się nad tym? - spytała zdziwiona.

- Pewnie. A ty nie?

- Boję się - przyznała.

- Serio? I nie wymyślasz imion?

- Nie.

- Sądziłem, że wszystkie kobiety to robią.

Przymknęła powieki.

- Wtedy ciąża stałaby się... bardziej prawdziwa.

- Ależ ona jest prawdziwa!

Słyszając zdumienie w głosie Marka, Sophie otworzyła oczy. Wymyślać imiona dla dziecka można, kiedy ze spokojem i ufnością patrzy się w przyszłość. Ona nie potrafiła; Oliver odebrał jej tę umiejętność.

- Ja... - Przyłożyła rękę do brzucha. - To jest moja fasolka.

- Fasolka?

- Tak. Malutka, zwinięta.

Spojrzenie Marka złagodniało.

- Ludzka fasolka...

- Mała ludzka fasolka. - Usta jej zadrżały. - Nasza fasolka.

Wybuchnęła śmiechem. Po chwili Mark do niej dołączył. Czuła z nim niezwykle silną więź. W dodatku po kilku godzinach wspólnej pracy zaczęła się nieśmiało zastana-

wiać, jaka jest szansa na to, aby po narodzinach malucha wciąż byli razem. Wystraszyła się własnych pragnień i myśli. Zakryła twarz kapeluszem; wsłuchując się w ciszę pustkowie, próbowała się uspokoić.

Dzisiaj cisza jej nie przeszkadzała. Czyżby się do niej przyzwyczaiła? Chyba tak, bo już nie tęskniła za szumem ruchu ulicznego i zgiełkiem miasta.

Leżała bez ruchu; czuła, jak się odpręża, najpierw ramiona, potem całe ciało. Jedynym dźwiękiem, jaki docierał do jej uszu, było cichutkie brzęczenie owadów w trawie. Rozmyślała o błękitnie nieba, o rozłożystym eukaliptusie, pod którym wypoczywała, słyszała własny oddech... i przez moment miała wrażenie, jakby stanowiła jedność ze światem.

Musiała zasnąć, bo nagle zorientowała się, że Mark pakuje rzeczy do furgonetki. Usiadła, przecierając oczy.

- Długo spałam?

- Mniej więcej godzinę - odparł z uśmiechem.

- Boże! Kiepski ze mnie pomagier.

Podsunał jej termos.

- Dokończysz?

- Dzięki. Może mnie herbata dobudzi.

Rozejrzała się. Wszystko było posprzątane, zapakowane do wozu. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, cienie rzucane przez drzewa wydłużyły się.

Ruszyli do domu. W oddali widziała rodziny kangurów, które wyszły posilić się spaloną słońcem trawą.

- Można do nich podejść naprawdę blisko - powiedział Mark. - Niemal na wyciągnięcie ręki. Tylko za każdym razem, kiedy podnoszą łeb, trzeba zastygnąć w bezruchu.

- Fajnie. - Uśmiechnęła się.

Mark objechał potężne mrowisko, potem lekko przyspieszył. Znał drogę, choć nie wyznaczały jej żadne ślady kół. Sophie oparła się wygodnie o siedzenie. Była zrelaksowana. Busz już nie wydawał się jej taki groźny.

W towarzystwie Marka Winchestera czuła się bezpieczna. Jego siła i pewność siebie miały na nią kojące działanie.

Kojące, dopóki nagle nie oznajmił:

- Skoro chcemy się lepiej poznać, może byś mi opowiedziała o Oliverze?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Spokój Sophie przysł. Czy nigdy nie uwolni się od tego drania?

- Co chcesz wiedzieć? - spytała zrezygnowana.

Nie odrywając wzroku od niewidocznej drogi, Mark wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zamierzałaś za niego wyjść. Musiałaś go kochać.

Wzdrygnęła się. Nie chciała przeżywać na nowo upokorzenia, na jakie Oliver ją naraził. Uznała jednak, że bez sensu jest wszystko w sobie tłumić. Może jej ulży, jak opowie Markowi o swoim bólu? Może wreszcie zdoła zapomnieć o Oliverze?

- Kochałam - przyznała smętnie. - Przynajmniej tak mi się wydawało. Oliver to zdolny muzyk; schlebiało mi, że się mną zainteresował. Myślałam, że rodzice się ucieszą.

- I co? Ucieszyli się?

- Nie tak bardzo. - Bawiła się włosami. Owijała kosmyk wokół palca, puszczała, potem znów owijała. - Oliver... nie podejrzewałam, że taki z niego drań, dopóki nie było za późno. - Przygryzła wargę.

- To znaczy?

Zostawiła włosy w spokoju, wyprostowała się; trudno jej było zdobyć się na to wyznanie.

- Dopiero gdy zgodziłam się wyjść za niego za mąż, odkryłam, że umawiał się ze mną z powodu mojej rodziny.

Mark pokręcił zde gustowany głową. Jego reakcja podbiła jej serce. Wtedy na ślubie też nie był pod wrażeniem sławy Felshamów.

- Oliver uważa się za koncertmistrza - wyjaśniła. - I kompozytora. Specjalizuje się w operze minimalistycznej.

- W operze minimalistycznej? Co to takiego?

Sophie skrzywiła się.

- Akt pierwszy: bohater czuje, że zaraz kichnie. Akt drugi: wyciąga z kieszeni chusteczkę. Akt trzeci: kicha.

- A potem umiera?

- Nie. Śmierć występuje tylko w wielkiej operze.

Mark roześmiał się cicho.

- W każdym razie Oliver liczył na to, że kiedy mnie poślubi, tata pomoże mu w karierze. Niestety swoim talentem nie zaimponował mojemu ojcu. A kiedy uświadomił sobie, że nic nie wyjdzie z jego marzeń, rzucił mnie.

Mark zacisnął ręce na kierownicy.

- To musiało zboleć.

Siląc się na nonszalancję, wzruszyła ramionami.

- Miłe nie było.

Na szczęście Mark nie nalegał na więcej szczegółów. Jechali w milczeniu. Niebo na zachodzie przecinały smugi czerwieni i różu.

Po paru minutach, odzyskawszy równowagę psychiczną, Sophie spytała:

- A ty? Z nikim nie jesteś związany?

Mark potrząsnął z uśmiechem głową.

- Jestem tak zajęty, odkąd kupiłem tę farmę, że nie mam czasu na życie towarzyskie.

- Czyli wcześniej mieszkałeś gdzie indziej?

- Tak. W Wynstead. To znacznie ładniejsza posiadłość niedaleko morza. Po śmierci ojca wszystkim się tam zajmowałem.

- Więc skąd pomysł na Coolabah Waters? - Ładniejsza posiadłość niedaleko morza wydawała się bardziej kusząca niż farma na środku pustkowia.

- W dzisiejszych czasach trzeba się rozrastać albo zwijać interes. Nie chciałem zwijać interesu, więc zatrudniłem doświadczonego menedżera, żeby prowadził Wynstead, a sam ruszyłem na zachód.

- Od dawna tu mieszkasz?

- Trochę ponad rok. Wciąż borykam się z różnymi problemami.

Sophie zamyśliła się. Trochę ponad rok... Hm, to by tłumaczyło, dlaczego dom znajduje się w tak opłakanym stanie. Ciekawe. Podziwiała Marka. Gotów był doraźnie znosić trudy i niewygody po to, by za kilka lat mieć świetnie prosperującą hodowlę.

- Cieszę się, że mnie z sobą dziś zabrałeś. Z drugiej strony wciąż nie mam pojęcia, czym się zajmujesz. Nawet nie widziałam cię na koniu. A sama... ani razu nie pogłaskałam krowy.

Otworzył szeroko oczy.

- Chcesz pogłaskać krowę?

Ujrzała w wyobraźni jedno z tych masywnych, wielokopytnych stworzeń i zmieniła zdanie.

- Może... może mogłabym zacząć od pogłaskania czegoś mniejszego? Na przykład któregoś z psów?

Wargi mu zadrżały.

- To nie są psy kanapowe. Mogłyby ci odgryźć palce.

- Aha.

- Ale nie odgryzłyby, gdybym im wytłumaczył, że nie wolno.

- To ładnie z ich strony. Może dziwaczka ze mnie, ale lubię swoje palce.

Dotarli do bramy. Mark zatrzymał furgonetkę, wysiadł, otworzył jedno skrzydło, drugie. Kiedy usiadł z powrotem za kierownicą, Sophie przyjrzała mu się z namysłem.

- Na ogół pasażer wyskakuje z auta i otwiera, a potem zamyka bramę, prawda?

Wzruszywszy ramionami, wrzucił bieg.

- Zwykle. Nie ma reguły.

- Zamknę - rzekła, otwierając drzwi.

- Sophie, nie musisz.

- Ale chcę.

Czy on nie rozumie? Nie chciała, żeby ją traktował jak turystkę z Anglii. Wysiadła, po czym dała Markowi znak, by przejechał, następnie zasunęła połówki bramy i przystąpiła do zamykania jej. Widziała, jak Mark to robi. Łatwizna. Wystarczy przeciągnąć łańcuch i zahaczyć go o wielki sterczący bolec na drewnianym słupie.

Pociągnęła łańcuch; nie sięgał do bolca. Trzy razy próbowała i trzy razy jej nie wychodziło. Psiakość. Miała ochotę tupnąć ze złości nogą. Powstrzymała się. Powstrzymała się też od obejrzenia się za siebie. Wolała nie widzieć ironicznego uśmiechu Marka. Na pewno coś źle robi. Może za mocno ciągnęła? Jeżeli trochę popuści, a potem uniesie łańcuch odrobinę wyżej...

- Daj, pokażę ci - usłyszała za sobą niski głos.

Uniosła dumnie głowę. Nie chciała pomocy. Na miłość boską, nie jest taką idiotką, żeby nie poradzić sobie z zamknięciem bramy.

Na szczęście zobaczyła, że Mark wcale się z niej nie śmieje. Przyłożył delikatnie rękę do jej rąk.

- Trzeba tu odchylić, o tak. - Łańcuch idealnie nasunął się na bolec.

- Gdybyś dał mi jeszcze minutę, sama bym na to wpadła - rzekła oburzona.

- Z pewnością. - Uśmiechnął się i wierzchem dłoni pogładził ją po policzku.

Miała wrażenie, że płonie i że serce za moment wyskoczy jej z piersi.

- Z następną bramą już sobie poradzę.

Mark opuścił rękę. Po chwili oboje wsiedli z powrotem do furgonetki. Jechali w milczeniu, wreszcie Mark przerwał ciszę.

- Nie sądziłem, że chcesz z bliska, na własnej skórze, poznać tutejsze życie.

- Owszem, przecież ono się wiąże z tobą, ojcem mojego dziecka. Wszystko, co ciebie dotyczy, jest ważne.

Zerknął na nią spod oka.

- Chcesz wiedzieć, czym się zajmuję, co lubię i ogólnie jaki jestem, żeby móc opowiedzieć dzieciakowi o jego ojcu?

- Tak. - Nagle ogarnęło ją przygnębienie.

Od czasu rozmowy o fasolce Sophie coraz częściej snuła różne romantyczne wizje: widziała, jak przeobraża się w zapaloną farmerkę, w osobę kochającą to suche australijskie pustkowia. Razem z Markiem tworzą udany związek, wspólnie wychowują dziecko...



Ale najwyraźniej za bardzo wybiegała myślą w przyszłość. Mark nie tylko nie snuł podobnych wizji, ale trzymał się pierwotnych ustaleń, że pod koniec przyszłego tygodnia ona wraca do Anglii.

Bujać w obłokach, puszczać wodze fantazji... to szaleństwo. Od początku wiedziała, że nie wolno jej się zakochać w Marku ani marzyć o wspólnym życiu. Zależało mu na tym, aby małżeństwu niczego nie brakowało, ale pochłaniała go również praca, dopiero rozkręcał biznes hodowlany. Kobieta z dzieckiem byłaby zbędnym dodatkiem, kulą u nogi. Szkoda.

Kiedy zajechali pod dom, z bud ustawionych w cieniu mangowca wybiegły dwa psy pasterskie, szczekając głośno na powitanie. Mark wysiadł i podrapał je za uchem, po czym spojrzał na Sophie.

- To co, chcesz się przywitać?

W drodze powrotnej jej zapał do poznawania różnych aspektów tutejszego życia nieco zmalął, ale nie dała nic po sobie poznać.

- Cześć, chłopaki. - Pomachała do psów.

- Chodź, przedstawię cię - powiedział z uśmiechem Mark.

Odruchowo schowała ręce za plecy, po czym postąpiła kilka kroków bliżej.

- Monty, Blue Dog, to jest Sophie - oznajmił poważnym tonem. - Przywitajcie się z nią grzecznie.

Psy natychmiast przestały szczekać. Merdając leniwie, skierowały na Sophie swoje inteligentne oczy.

- Teraz możesz je pogłaskać - rzekł z lekkim rozbawieniem w głosie.

Usiłowała rozprostować za plecami palce. Psiakrew, czy musiała mówić o głaskaniu krowy? Wprawdzie Mark pozwolił jej dotknąć psy, ale bestie miały przeraźliwie wielkie zęby. I chyba zjeżyły sierść.

- Bardziej jestem kociarą niż psiarą... - Zrobiła malutki krok w stronę Blue Doga, który wczoraj tak sumiennie się nią opiekował.

Los sprzyja odważnym, pomyślała.

Wyciągnęła rękę, zamierzając szybciotko poklepać zwierzę po łbie, ale ku jej zdumieniu psisko usiadło i uniosło łapę.

- Ojej! - Sophie kucnęła uradowana. - Witaj, Blue Dog - powiedziała, ściskając mu łapę.

Podobały jej się ciepłe poduszcзки, a także sierść między uszami. Sprawiała wrażenie szorstkiej, w rzeczywistości była miękka i delikatna.

Po chwili nastąpiło takie samo powitanie z Montym.

- To niesamowite, Mark. - Popatrzyła na niego z nieskrywanym podziwem. - Jak ich do tego namówiłeś?

- Mam swoje sekretne metody. Pokaż rękę.

Zaskoczona, wysunęła ją posłusznie i nagle wciągnęła z sykiem powietrze, kiedy Mark zaczął ją oglądać. Obracał jej dłoń to w jedną stronę, to w drugą, naciskał kłykie, dotykał palców. Sophie zadrżała.

- Co... co robisz? - wydukała.

Kiedy podniosła wzrok, przekonała się, że zaledwie parę centymetrów dzieli ich twarze.

- Sprawdzam, czy masz wszystkie palce - odparł, obdarzając ją leniwym uśmiechem. Po chwili puścił jej rękę nieświadom emocji, jakie wywołał jego niewinny dotyk. - A teraz muszę zajrzeć do koni. Pójdziesz ze mną?

Z trudem przełknęła ślinę.

- Chętnie.

Konie przebywały na długim wąskim padoku, który ciągnął się od zagród aż do drzew przy niemal wyschniętym strumyku. Zbliżając się do ogrodzenia, Mark zagwizdał. Konie, które znajdowały się na drugim końcu pola, obróciły się niczym zgrany zespół tancerzy i ruszyły galopem po żółtej trawie.

Sądząc po wyrazie jego twarzy, Mark uwielbiał te zwierzęta. Zapierały dech. Nawet Sophie musiała to przyznać, choć w głębi duszy lękała się ich wielkości.

Było ich cztery, każdy innej maści: jabłkowity, kasztan, srokacz i kary.

Mark podszedł do ogrodzenia, żeby się przywitać; Sophie przezornie zatrzymała się parę kroków dalej i znów schowała ręce za siebie. Co innego pogłaskać psa, a co innego konia. Pomijając wszystko inne, konie mają znacznie większe zęby.

Mark poklepał srokacza po szyi, kasztana pogładził po pysku.

- To Tilly. Jest bardzo łagodna. - Uśmiechnął się do Sophie. - Chodź, przywitaj się z nią.

Tilly niewątpliwie była piękną klaczą o lśniącej rudawobrazowej sierści, białej strzale na czole i wspaniałej czarnej grzywie. Ale łagodna? Patrząc na jej wygiętą szyję, uniesiony ogon, zmarszczone chrapy odsłaniające wielkie zębiska, Sophie jakoś nie mogła w to uwierzyć.

- Konie gryzą, prawda, Mark?

Oczy rozbłysły mu wesołością.

- Te nie, ale niektóre ogiery potrafią mocno chapnąć. Gdybym miał być ugryziony, to wolę przez psa niż konia.

- A stąd, gdzie jestem, nie mogę się przywitać? - spytała, po czym zawstydzona własnym tchórzostwem zmusiła się, aby podejść krok.

Boże, im mniejsza była odległość do konia, tym on był większy!

Mark objął Tilly za szyję.

Nagle Sophie przypomniała sobie scenkę z dzieciństwa: dziadek namawia ją, by wzięła do ręki kilkutygodniowego jeża. Ona się boi, że będzie pokłuta, ale dziadek demonstruje, jak należy trzymać małą kolczastą kulkę. Sophie zdobywa się na odwagę. I jest zachwycona miękkim brzuszkiem i tym, że maluch tak śmiesznie mruczy.

Z Blue Dogiem i Montym też sobie poradziła.

- No dobra. - Starła się nie patrzeć na zęby. Serce waliło jej młotem, ręka drżała. - Cześć, Tilly. - Poglądziła klacz po pysku i szybko cofnęła dłoń.

Uff! Palce ocalały. Nawet nie było najgorzej.

- Na którym głównie jeździsz? - spytała, próbując ukryć zdenerwowanie.

- Na Hebanie. - Mark wskazał na czarnego konia.

Mogła się tego domyśleć. Heban był największy z czwórki i wyglądał najgroźniej.

- Spadłeś kiedykolwiek?

- Tysiące razy.

- I czym to się kończyło?

- Różnie. Złamaną nogą. Wstrząśnieniem mózgu. Zerwanym ścięgnem barku.

Zbladła.

- Ile miałeś lat, kiedy pierwszy raz wsiadłeś na konia?

- Nie pamiętam. - Wzruszył ramionami. - Pierwszy raz to pewnie zaraz po urodzeniu. - Zaczął się wspinać na ogrodzenie. - Heban i ja jesteśmy starzy kumple.

Sophie otworzyła usta, by zaprotestować, ale Mark był już na górnej żerdzi. Przez moment tkwił na niej nieruchomo, po czym wykonał zgrabny skok prosto na grzbiet Hebana.

Krzyknęła przerażona. Jak on się utrzyma bez siodła, bez wodzy? Kolanami dźgnął konia w bok. Heban uniósł łeb, prychnął, po czym ruszył przed siebie, waląc kopytami o twardą ziemię.

- Nie spadnij! - zawołała.

Mark zignorował jej słowa. Wkrótce przekonała się, że niepotrzebnie się o niego martwi. Dwaj wspaniali samce, jeździec i koń, obaj szczupli, umięśnieni, wysportowani, idealnie z sobą zgrani, w doskonałej kondycji fizycznej, po prostu stanowili jedność.

Przy drzewach rosnących nad strumykiem Heban zawrócił. Pędził galopem. Mark siedział pochylony, z opuszczoną głową, przytrzymując się grzywy. Kiedy zbliżyli się do Sophie, uśmiechnął się szeroko, po czym wyprostował i wyrzucił ramiona do góry niczym zwycięzca dziękujący publiczności za gorący doping.

- Wariat - mruknęła Sophie, kręcąc z uśmiechem głową. Był fantastyczny. Piekielnie seksowny. Aż westchnęła z pożądania. Na szczęście tego nie słyszał.

Kiedy szli do domu, uświadomiła sobie, że coraz mniej się boi otaczającego ją pustkowie, co optymistycznie rokowało na przyszłość. Pojawił się jednak inny problem.

To dobrze, że na farmie Coolabah Waters czuła się niemal jak w domu. Źle natomiast, że nie potrafiła zapanować nad swoimi uczuciami i zakochała się w jej przystojnym właścicielu.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Sąsiedzi Marka mieszkali w podobnym domu jak on: dużym, niskim, o ścianach z drewna i dachu z metalu, otoczonym głębokimi werandami. Tyle że na ich posesji rosło mnóstwo drzew dających zbawienny cień, a trawa miała barwę zieleni.

Ściany pomalowane były na kolor śnieżnobiały, dach na ciemnozielono. Zielone były też okiennice i poręcz werandy. Całość sprawiała bardzo sympatyczne wrażenie.

Andrew i Jill Jacksonowie, oboje wysocy, szczupli, jasnowłosi, pod czterdziestkę, przywitali ich niezwykle serdecznie. Mieli trójkę dzieci, dwie długonogie dziewczynki i sześciolatniego chłopca, który wyglądał jak miniaturowa kopia ojca.

- Dzieciaki uwielbiają gości - powiedziała Jill, zapraszającym gestem wskazując Sophie i Markowi wiklinowe fotele na werandzie. - Mają wtedy pretekst, żeby nie odrabiać lekcji.

- Gdzie chodzicie do szkoły? - Sophie zwróciła się do starszej dziewczynki, Kate.

- Uczymy się w domu.

- Edukacja na odległość. - Jill naląła gościom po szklance domowej roboty zimnego napoju. - Lekcje przychodzą pocztą, codziennie odbywają się półgodzinne konsultacje telefoniczne z nauczycielką z Mount Isy. A samym szkoleniem zajmuję się ja.

Sophie nawet nie potrafiła sobie wyobrazić własnej matki uczącej dzieci. Na przerabianie z dziećmi programu szkolnego lady Eliza nie miałyby czasu.

Trójka małych Jacksonów uczestniczyła w spotkaniu; rodzice zachęcali swoje pociechy, aby brały udział w rozmowie. Sophie z przyjemnością wysłuchiwała ich relacji z pobytu na wyspie Magnetic.

Mężczyźni rozmawiali o spędzie bydła, a także o programie komputerowym, dzięki któremu, nie ruszając się z domu, można będzie monitorować cały teren. Ogromnie to Sophie zainteresowało, ale nie wtrącała się do rozmowy.

Kiedy jednak przeszła z Jill do kuchni po sałatki na lunch, zasypała gospodynię gradem pytań.

- Tutaj rodziłaś dzieci? Na farmie?

- Ach, skąd! W Mount Isie. W normalnym szpitalu.

- To straszny kawał drogi, kiedy ma się bóle porodowe.

- Pojechałam tam, zanim się zaczęły. - Jill poliała winegretem listki rukoli. - Kobiety, które mieszkają na tych mało zaludnionych obszarach, muszą w trzydziestym szóstym tygodniu ciąży przenieść się do miasta. Dla własnego bezpieczeństwa. Taki jest wymóg.

- Rozumiem. Ale chyba to dość kłopotliwe, prawda?

Jill wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem? Do różnych rzeczy się człowiek przyzwyczaja.

- A co z badaniami podczas ciąży? Z wizytami lekarskimi?

- Raz w tygodniu z Mount Isy przyjeżdża do Wandabilii ginekolog. Przywozi z sobą ultrasonograf. Nie jesteśmy zostawione bez opieki. - Jill popatrzyła na Sophie, zdziwiona jej pytaniami.

Chociaż gospodyni wydawała się niezwykle sympatyczna, Sophie jednak nie była gotowa do zwierzeń.

- Od małego mieszkasz w buszu?

- Nie. Dorastałam w Adelajdzie. Chodziłam do szkoły pielęgniarstwa razem z moją przyszlą szwagierką. Któregoś razu zaprosiła mnie do siebie na wakacje. Przyjechałam i kiedy zobaczyłam Andrew... - Błysnęła zębami w uśmiechu. - Tego samego dnia pomogłam mu zaszczepić stado wołków. Nie mogłam przestać wodzić za nim wzrokiem.

Sophie chciała spytać, czy Jill nigdy nie żałowała swojego wyboru, ale zauważyła, że Jill patrzy na nią, jakby sama chciała jej zadać kilka pytań. Na szczęście w tym momencie do kuchni wpadła Anna, oznajmiając, że jej mały braciszek rozpoczął konsumpcję sałatki ziemniaczanej.

Lunch przebiegł w przyjemnej atmosferze. Sophie zaskoczyło, że peklowana wołowina jest tak smaczna, zwłaszcza z dodatkiem gęstego sosu z mango. Posiłek jedli w dużej jadalni o ścianach pomalowanych na biało i cytrynowo; w oknie wychodzącym na bujny ogród wisiały kolorowe zasłony. Kiedy Sophie pochwaliła wspaniałe rośliny, Jill zaproponowała, że utnie jej kilka pędów.

Sophie spieszyła się.

- Ja... To miło, ale...

- Sophie mniej więcej za tydzień wyjeżdża - wtrącił Mark. - Przez tydzień te pędy chyba nawet nie zdążą się przyjąć.

Przy stole zapadło milczenie. Jill popatrzyła na męża, a Sophie na Marka, z którego twarzy nie sposób było czegokolwiek wyczytać.

- W takim razie poczekamy z pędami do jej powrotu - rzekła Jill, przerywając ciszę.

Sophie poczuła się skonfundowana. Przecież nie planowała wracać do Australii. Co Mark naopowiadał o niej Jacksonom? Ponownie rzuciła na niego okiem, lecz wpatrywał się w talerz, jakby nie było nic ważniejszego na świecie poza tymi paroma plasterkami ogórka i marchewki.

Jeżeli Jill zauważyła napięcie, nie dała nic po sobie poznać.

- Czas na deser! Kto ma ochotę na tartę cytrynową?

Kiedy tym razem Sophie zerknęła na Marka, zobaczyła, że kąciki warg mu drżą.

- Ja poproszę. - Mrugnął do niej porozumiewawczo, a jej dreszcz przebiegł po plecach. - Uwielbiam tartę cytrynową.

Na wspomnienie tego, co się wydarzyło po tarcie, którą poczęstowała go w Londynie, Sophie oblała się płomiennym rumieńcem.

- Pomogę ci, Jill. - Poderwała się od stołu.

- Mark mówił nam o twojej sławnej muzycznej rodzinie - powiedziała gospodyni, kiedy wszyscy z apetytem jedli deser.

- Mój ojciec był bardzo muzykalny - wtrącił Andrew. - Wciąż mamy jego fortepian, ale stoi bezużyteczny; nikt na nim nie gra.

- Ja bym pograła. - Młodsza z dwóch córek nadała się. - Ale dopiero jak wyjadę do szkoły z internatem będę mogła zapisać się na lekcje pianina.

Sophie uśmiechnęła się do dziewczynki.

- Sophie, ty na pewno świetnie grasz! - zawołała Jill. - Może udzieliłabyś Annie paru wskazówek?

Sophie zamierzała odmówić; wszystkim zawsze powtarzała, że nie ma zdolności muzycznych. Dobrze pamiętała, jak w dzieciństwie zmuszano ją, aby grała przed gośćmi

rodziców i jak strasznie się wstydziała, gdy później porównywano ją z jej wyjątkowo utalentowanymi siostrami.

Ale tu była z dala od swoich wspaniałych sióstr.

- Może nie świetnie - powiedziała - ale gram.

Anna klasnęła w dłonie.

- Zagrasz nam coś?

- Och, tak! - poparła córkę Jill. - Wprawdzie od lat nie siedział przy tym fortepianie prawdziwy muzyk, mimo to co roku wzywam stroiciela.

- Miło byłoby posłuchać prawdziwej muzyki, a nie brzdąkania w wykonaniu naszych dzieci - dodał Andrew.

Wszyscy patrzyli na Sophie wyczekująco.

- Nie mam przy sobie nut.

Rozległ się chóralny jęk.

Na widok niepokieszzonej miny Anny Sophie zmieniła zdanie.

- No dobrze, znam kilka prostych utworów. - Nie przyznała się, że woli improwizować.

- Cudownie! - ucieszyła się Jill. - Fortepian stoi w salonie. Przejdźcie tam, a ja zaraz przyniosę kawę.

Dochodziła trzecia po południu, kiedy goście pożegnali się z gospodarzami i ruszyli w drogę powrotną do Coolabah Waters.

- Zrobiłaś furorę - powiedział Mark, gdy jechali po płaskiej i suchej dolinie, niemal całkiem pozbawionej drzew. - A mówiłaś, że jesteś niemuzykalna.

- Bo jestem. W porównaniu z resztą rodziny.

- Byłaś rewelacyjna. Założę się, że twoje siostry nie umiałyby zagrać z głowy tylu popularnych melodii.

- To prawda. Akurat popularnych melodii one nie znają.

- No widzisz? - zawołał uradowany. - Kto by tu na australijskim pustkowiu chciał słuchać klasycznego repertuaru?

Uśmiechnęła się.

- Fajnie, że nas zaprosili.



- Tak, było bardzo sympatycznie. Jacksonowie polubili cię od pierwszego wejrzenia. A mnie rozpieęła duma. - Nagle speszył się, jakby powiedział za dużo.

Jego ciepłe słowa sprawiły Sophie ogromną przyjemność.

- Anna jest zdolną dziewczynką. Jak na tak młode dziecko ma wyjątkowy słuch. Przykro mi było, kiedy musiałam jej wyjaśnić, że wracam do Anglii i nie będę mogła dawać jej lekcji. - Nagle zmarszczyła czoło. - Słuchaj, nie bardzo rozumiem, dlaczego oni wszyscy sądzą, że zostają tutaj.

Mark mruknął coś pod nosem. Sophie obróciła się, skrzyżowała ręce na piersi.

- Mark, powiesz mi?

- Co? - Zerknął na nią spod oka, po czym ponownie utkwiał spojrzenie w drodze.

- Dlaczego twoi sąsiedzi myślą, że lecę do Anglii na chwilę, a potem wracam tu na stałe?

Wzruszył ramionami.

- Diabli wiedzą. Tak sobie wykombinowali.

- Jill i Andrew nie wyglądają na ludzi, którzy z powietrza wyciągają wnioski. Co im powiedziałaś?

- Nic. Że poznaliśmy się w Anglii.

- Wiedzieli o mojej rodzinie. Co jeszcze im powiedziałaś?

Westchnął.

- Naprawdę niewiele. Ale w tych stronach plotka szybko się rozchodzi. Twój telefon, kiedy byłem na spędzie, wzbudził ogromne zaciekawienie.

- Serio? - spytała zdumiona. - Dlaczego?

- Bo niecodziennie do faceta w buszu dzwoni dziewczyna z Anglii.

- Tylko mi nie mów, że wszyscy przysłuchiwali się naszej rozmowie.

- Nie, ale wiedzieli, że dzwonisz z Anglii, i wiedzieli, że niedawno byłem tam na ślubie przyjaciela. A teraz pojawiłaś się w Coolabah. Wystarczy dodać dwa plus dwa...

- Żeby wyszło pięć?

- Nam wyszło trzy.

Faktycznie. On, ona i ich dziecko. Niespodziewanie przepelił ją smutek. Odwróciła się od Marka i skierowała spojrzenie na stado bydła spokojnie wędrujące po płaskim

wyschniętym polu. Była taka zdenerwowana, kiedy dzwoniła do Marka z Londynu; teraz wyobraziła sobie, jak on biedny musiał się czuć, rozmawiając z nią przy kilkunastu facetach, znajomych i przyjaciółach, którzy...

No właśnie, którzy sądzą, że on i ona się pobiorą. Będą się nad nim użalać, gdy nie dojdzie do ślubu, a ona wróci do Anglii. Znow zaczną krążyć plotki, Mark będzie tłumaczył kolegom, dlaczego go zostawiła. A ona w Anglii będzie odpowiadała na równie dobiegliwe pytania swoich rodziców. Co za ambaras.

Wzdychając ciężko, oparła się o drzwi wozu i bez słowa wpatrywała w żółtawe padoki.

Dziś u Jacksonów zrozumiała, że życie na australijskim pustkowiu może być cudowne, gdy ma się u boku kochającego partnera. Odcięci od świata, z dala od zgiełku miasta, ludzie skupiają się na sobie i swoich dzieciach. Nie tracą czasu na błahostki. Chyba jeszcze nigdy nie spotkała tak bardzo żywej szczęśliwej rodziny.

Przez chwilę myślała, że mogłaby mieszkać na tym odludziu, być dla Marka dobrą żoną i towarzyszką życia. Miała przed oczami przykład Jill, która wszystko potrafiła pogodzić: zajmowanie się domem, doglądanie nauki dzieci, pomaganie mężowi w prowadzeniu interesów.

Jednakże teraz, gdy pędzili furgonetką po suchej ubitej drodze, zrozumiała, że to były mrzonki, takie bujanie w obłokach. Między nią a Jill istniały zasadnicze różnice.

Choćby taka, że pierwszego dnia po przybyciu na farmę Jill pomogła Andrew zaszcześcić stado wołków. Ja, Sophie, sama myśl o wołkach przejmowała grozą. Poza tym Jill i Andrew byli w sobie do szaleństwa zakochani.

Miłość. O to chodzi.

Poczuła ukłucie w sercu. Wątpiła, czy Mark ją kocha, Owszem, okazywał jej wiele serdeczności, ale wiedziała, że nie jest typem kobiety, z którą chciałby dzielić życie.

Ona za żadne skarby nie zbliżyłaby się do wołka. Ledwo odważyła się pogłaskać konia po nosie, ale na koński grzbiet nigdy by nie wsiadła. Zamiast nosić praktyczne obuwie, chodziła w sandałkach ozdobionych stokrotkami. Potrafiła przyrządzać wykwintne desery, lecz nie miała pojęcia, co się robi z peklowaną wołowiną.

Nie nadawała się na żonę hodowcy. I Mark doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Czy mogła go przekonać, że się myli w jej ocenie? Chyba nie. Chociaż...

- Mark, podczas spędu gdzie śpisz? Na czym? - spytała podczas kolacji, trzymając widelec w połowie drogi między ustami a talerzem.

O mało się nie zakrztusił. Pytania Sophie o jego zwyczaje nocne zwykle wprawiały go w zakłopotanie. Dzisiejszego wieczoru, ubrana w obcisłe białe dżinsy i lawendową bluzeczkę z jedwabiu z koronkową wstawką na piersiach, wyglądała wyjątkowo ślicznie. Policzki miała leciutko zaróżowione, oczy błyszczące. I chciała wiedzieć, jak on sypia. Boże, kobieto, zlituj się!

- W śpiworze - odparł.

- I w namiocie?

Potrząsnął z uśmiechem głową.

- Pod gołym niebem.

- Serio? Tak bez żadnej ochrony?

- Z namiotami jest za dużo roboty - odparł, starając się nie myśleć o tym, jak razem, on i ona, tulą się w śpiworze. - Na ogół spędy urządzamy w porze suchej. A w razie czego można rozciągnąć między drzewami kawałek brezentu.

- Więc po prostu leżysz na ziemi? Pod gwiazdami?

- Tak. W wygodnym śpiworze. I patrzę w roziskrzzone niebo.

Zmrużywszy czoło, Sophie wypła łyk wody.

- Kobiety, na przykład Jill, też tak śpią?

- Jasne. Spodobałoby ci się. Miło jest leżeć pod gołym niebem i wsłuchiwać się w odgłosy buszu.

Zbladła.

- Może kiedyś spróbujemy?

Co mu odbiło? - pomyślał nagle. Sophie nigdy się nie zgodzi. A ona uśmiechnęła się słodko.

- Bardzo chętnie - rzekła.

Wpatrywała się w niebo przez cienką siatkę przeciw komarom tworzącą rodzaj namiotu nad jej śpiworem. Nie mogła uwierzyć, że leży na ziemi.

Powtarzała sobie w duchu, że jest bezpieczna; nic jej nie grozi. Mark ciągle nocuje pod gołym niebem. Zresztą znajdowali się nad brzegiem strumyka, zaledwie paręset metrów od domu. Tak Mark zdecydował: żeby mogli szybko wrócić do środka, gdyby się źle poczuła.

Śpiwór okazał się jednak całkiem wygodny. Pod sobą miała cienki materac, nad sobą moskitierę; nie mogła narzekać.

Oczywiście w pierwszej chwili przeszkadzał jej brak światła elektrycznego, ścian, podłogi i sufitu, ale szybko przywykła do nowych warunków. Gdyby jeszcze przestała myśleć o Marku leżącym na wyciągnięcie ręki, mogłaby w pełni skupić się na nowych doznaniach.

Powietrze było chłodne, niebo przejrzyste, usiane gwiazdami. Kojarzyło jej się z ogromną roziskrzoną kopułą. I w tej kopule na tle aksamitnej czerni połyskiwał zaokrąglony sierp księżyca.

Wpatrując się w jasny rożek, Sophie pomyślała o dziecku, które rosło powolutku w jej łonie. Ochronnym gestem wsunęła rękę pod spodnie od dresu, przykrywając nią swój brzuch.

Kiedyś w przyszłości jej syn lub córka przyjedzie z wizytą do Coolabah Waters. Mark zabierze dzieciaka na biwak, pokaże mu rozświetlone gwiazdami australijskie niebo. Będą urządzać razem wycieczki, jeździć konno...

A ona? Będzie niecierpliwie czekała w Anglii na powrót swojego jedynaka? Łzy napłynęły jej do oczu. Nie zwracając na nie uwagi, obróciła się w stronę leżącej obok ciemnej sylwetki.

Jakby wyczuwając jej ruch, Mark też się obrócił. W mroku rozległ się jego niski głos.

- Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję. - Zadowolona, że panuje ciemność, brzeżkiem prześcieradła osuszyła łzy. - Ale wiesz co? Do rana nie zasnę. Nie mogę się napatrzeć na niebo. Nawet nie przypuszczałam, że jest tyle gwiazd.

Roześmiał się cicho.

- Sama Droga Mleczna zawiera ich miliardy. A my tu widzimy sam czubek góry lodowej.

- Zapiera dech w piersiach. Te gwiazdy są niesamowite. Lśnią jak diamenty.

- Dlatego, że nie ma tu sztucznego światła, nic nie osłabia ich blasku.

Przypomniała sobie, z jakim rozczarowaniem Mark spoglądał na nocne niebo w Londynie.

Wokół panowała głęboka cisza, którą od czasu do czasu zakłócało przejmujące wołanie paszczaka, dochodzące z daleka muczenie krowy czy pohukiwanie sowy, która siedząc na gałęzi, pilnowała padoków skąpanych w świetle księżyca.

- Znasz nazwy tych gwiazd?

- Paru.

- Których?

- Krzyż Południa to najbardziej znany z gwiazdozbiorów na południowym niebie. O, widzisz te dwie jasne gwiazdy jedna nad drugą? Teraz spójrz w prawo i w lewo. Widzisz krzyż?

- Tak.

- Dobrze. A widzisz tę patelnię na wprost?

- Tak.

- To Orion. Obok znajduje się gwiazdozbiór Byka.

- To mój znak - szepnęła Sophie. Nagle dostrzegła pędzącą po niebie smugę światła. - Ojej, zobacz! - Z wrażenia aż usiadła. - Czy to spadająca gwiazda?

Świetlisty ogień mknął ku ziemi, zostawiając za sobą snop iskier.

- Tak, często je tu widać.

- Naprawdę? - Była pewna, że jest to niezwykle rzadkie zjawisko.

- O, a tam masz satelitę. - Mark wskazał punkt na niebie.

- Gdzie?

- Nad tym wysokim eukaliptusem. Widzisz? Przesuwa się powoli.

Nigdy nie sądziła, że obserwacja nocnego nieba może być tak fascynująca. Ponownie ułożyła się na wznak; tak jak tamtego dnia, kiedy pomagała Markowi przy naprawie ogrodzenia, czuła dziwną więź z ziemią, z powietrzem, ze wszechświatem.

Jej życie w Londynie, praca, rodzina, przyjaciele wszystko to wydawało się strasznie odległe. Teoretycznie wystarczyłoby sięgnąć po telefon lub wsiąść w samolot, ale chodziło o coś innego. Po prostu to były dwa różne, nieprzystające do siebie światy. W jednym wieżowce, tłumy ludzi, kawiarnie, koncerty, w drugim cisza, spokój, przyroda.

Tu, na australijskim pustkowiu, mogła być sobą. Mogła odnaleźć siebie, tę prawdziwą Sophie, która niczego nie musi udawać ani spełniać cudzych oczekiwań.

Westchnęła ciężko. Nieprawda. Gdyby tu została, wkrótce próbowałaby przeobrazić się w taką kobietę, jakiej Mark potrzebuje, w idealną żonę australijskiego hodowcy bydła.

- O czym myślisz?

Jego głos wyrwał ją z zadumy. Zaczerwieniła się.

- Tak się zastanawiam, czy moje siostry lub rodzice kiedykolwiek widzieli tyle gwiazd.

- Bardzo za nimi tęsknisz?

- Nie - odpowiedziała szczerze. - Są tak zajęci, że rzadko się spotykamy. A ty, Mark? O czym myślisz? - spytała nieśmiało.

Odparł po dłuższej chwili:

- O tym, że moje dziecko nie będzie patrzyło na to wspaniałe niebo ani słuchało odgłosów buszu.

- Przeszkadza ci to?

- Chciałbym, żeby znało charakterystyczny głos kulika, śmiech zimorodka, a nawet wycie psa dingo. Może wyda ci się to dziwne, ale na mnie te dźwięki działają uspokajająco. Pewnie mam je we krwi.

Poczuła bolesny ucisk w gardle.

- Ono, nasz syn lub córka, będzie cię odwiedzać.

Nie odpowiedział.

Obróciła się do niego twarzą. W świetle księżyca zobaczyła zarys jego profilu. Chciała powiedzieć Markowi, że ona nie musi wracać do Anglii. Może tu zostać. Ale to raczej on powinien wyjść z taką propozycją.

- Nie będę wam utrudniać widzeń.

- Każdy tak mówi - mruknął.

- Przysięgam. - Błagała go w myślach, żeby na nią spojrział. Przekonałby się, że go nie okłamuje.

- Wiem, że chcesz dobrze - rzekł. - Ale co będzie, kiedy wyjdiesz za mąż?

- Za mąż? - wykrzyknęła zaskoczona.

- Prędzej czy później wstąpisz w związek małżeński.

Chyba oszalał, przemknęło jej przez myśl.

- Jesteś fantastyczną kobietą - ciągnął. - Nie będziesz do końca życia samotnie wychowywała dziecka. Za kilka tygodni, miesięcy lub lat poznasz kogoś, w kim się zakochasz. A wtedy co ze mną, biologicznym ojcem naszej córki lub syna?

- Wtedy... - Urwała.

Nie miała pojęcia. Nie wybiegała myślą tak daleko naprzód.

Usiłowała wyobrazić sobie przyszłość, jaką Mark opisał: ona wychodzi za Anglika, mieszkają razem w Londynie. Czy jej mąż zaakceptuje nie swoje dziecko? Jak się będzie z tym czuł? Zapewne normalnie. W dzisiejszych czasach jest mnóstwo takich rodzin. Tymczasem Mark będzie dalej żył na australijskim pustkowiu, sam w wielkim pustym domu, tęskniąc za synem lub córką.

Ma tak wiele do zaoferowania dziecku. Jest mądrym błyskotliwym człowiekiem, który odniósł sukces; człowiekiem dobrym, pełnym pasji, z wizją przyszłości. Powinien móc uczestniczyć w wychowaniu swojego potomka.

Sophie zamyśliła się. Hm, naprawdę darzyła Marka ogromnym uczuciem. Nie znała drugiego takiego człowieka jak on i nigdy nie przeżyła tak wspaniałej nocy jak wtedy w Londynie po ślubie Emmy i Tima.

Ponownie usiłowała wyobrazić sobie swoje życie w Anglii, ale nie potrafiła. Obraz rozmywał się jej przed oczami. Ogarnął ją strach.

Właściwie w ciemno przyleciała do Australii. Zaryzykowała. Ale wiedziała, że zawsze może wrócić do Anglii. Jej rodzina oczywiście nie ucieszy się, gdy usłyszy o tym, co się stało, ale po pewnym czasie zaakceptuje nową sytuację.

Teraz jednak naszyły Sophie wątpliwości. Czy słusznie zamierza postąpić? Bardziej kusiło ją pozostanie w Coolabah Waters niż powrót do Londynu.

O ileż byłoby łatwiej, gdyby Mark ją kochał; gdyby poprosił, aby została z nim na zawsze, a nie na tydzień czy dwa, dopóki nie podejmą kilku praktycznych decyzji w sprawie dziecka.

Przez moment miała wrażenie, jakby nigdzie nie należała. Jakby tkwiła zawieszona w próżni. Poczula się straszliwie samotna. Cichy szloch wyrwał się jej z piersi.

Obok usłyszała szelest.

- Sophie, wszystko w porządku?

- Nie.

Mark usiadł.

- Masz dość spania na dworze? Chcesz wrócić do domu?

- Nie.

W promieniach księżyca jego twarz wyglądała jak dzieło zdolnego rzeźbiarza.

- Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić?

- Tak - oznajmiła, również siadając. Serce waliło jej młotem, usta drżały. - Przytul mnie, Mark.

Ciszę, która zapadła, przerwało pohukiwanie sowy.

- Zdajesz sobie sprawę, o co prosisz? - spytał w końcu mężczyzna. - Sama nalegałaś, żeby...

- Wiem - przerwała mu i uniosła moskitierę. - Przytul mnie.

Zalała go fala pożądania. Był idiotą, sądząc, że potrafi spędzić noc z Sophie, spać pół metra od niej i nie pragnąć wziąć jej w ramiona.

Ona zaś od początku była świadoma niebezpieczeństwa. Wiedziała, że seks niczego nie rozwiąże, a jedynie pogłębi problemy. Jeśli pójdą z sobą do łóżka, wówczas trudniej będzie jej się pożegnać i wrócić do Anglii, znacznie trudniej...

Dlaczego łamała własne postanowienia?

- Mówiłaś, że powinniśmy zachować dystans. Kazałaś mi obiecać.

- Zmieniłam zdanie.

Mark usłyszał stłumiony jęk, potem dzielącą ich przestrzeń wypełnił ciemny kształt i po chwili trzymał Sophie w ramionach. Słodką, pachnącą, seksowną Sophie.



Miał ochotę zmiażdżyć ją w uścisku, rzucić na materac, sprawdzić smak jej ust, całą od stóp do głowy pokryć tysiącem pocałunków, zatracić się, dać się porwać tej dzikiej elektryzującej napiętności, jaka połączyła ich w Londynie.

Dlaczego Sophie go kusi? Nie pamięta, co postanowiła? Są setki powodów, dla których powinni zachować dystans. Sama twierdziła, że nie chce żadnych fizycznych zbliżeń. Raz popełniła błąd, który ją bardzo drogo kosztował.

Mark tulił ją do piersi ostrożnie, jakby była ze szkła i mogła się rozpaść na tysiące kawałków. Jednocześnie starał się zignorować własne pragnienia.

- Nie boisz się, że to nam wszystko pokomplikuje? - szepnął jej do ucha.

Potrząsnęła głową. Jedwabiste loki połaskotały go w policzek.

- Nie, Mark. Zrozumiałam, że to wszystko uprości.

Obróciła się, drżącymi wargami muskając jego usta.

Upajał się delikatnym zapachem perfum, uciskiem jej bujnych piersi. Jeszcze z sobą walczył. Wiedział, że przegra. Bo czy jakikolwiek mężczyzna mógłby się jej oprzeć?

Objęła go za szyję, rozchyliła usta. Ich języki splotły się w zmysłowym tańcu.

Nareszcie! Fala dreszczy przeniknęła Sophie, gdy Mark wsunął palce w jej włosy, po czym zasypał ją pocałunkami.

- Och, maleńka - jęknął, na moment unosząc głowę. - Doprowadzasz mnie do szaleństwa...

- Ty mnie również - szepnęła, przywierając ustami do żyły, która pulsowała na jego szyi.

Wsunął ręce pod bluzkę Sophie i zaczął pieścić jej piersi. W pewnym momencie Sophie podskoczyła.

- Zabolalo?

- Troszkę.

- Przepraszam. - Cofnął dłoń.

- Och, nie... - Przyciągnęła ją z powrotem.

- Umiem wolno i delikatnie - szepnął, rysując palcami maleńkie kółeczka na jej skórze.

- Pamiętam. Masz najwspanialsze ręce na świecie.

- Ja też pamiętam. Tamta noc trwale odcisnęła mi się w pamięci. Każda sekunda, każdy dotyk, każdy pocałunek.

Ułożył ją na materacu.

- Zmieścimy się w jednym śpiworze? - spytała, patrząc mu w oczy.

W mroku ujrzała olśniewającą biel uśmiechu.

- Jakoś sobie poradzimy.

Wyciągnął się obok. Tylko księżyc i gwiazdy były świadkiem ich namiętnych pieszczot i pocałunków. Potrzeby bliskości i pragnień, które spełniali bez słów.

TLR

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Miała nadzieję, że słowa pojawią się później, gdy będą leżeli spleceni w uścisku, obserwując roziskrzone niebo. Ale Mark był dziwnie milczący.

Tulił ją mocno, jakby nie chciał jej puścić, i nieobecny myślami wpatrywał się w gwiazdy.

- Dziękuję - szepnęła, całując go w szyję.

- Ja dziękuję. - Otoczył ją mocniej ramieniem.

Czekała, aż coś jeszcze powie, aż wyjawi swoje uczucia. Może powinna dać mu przykład? Powiedzieć, że nie spotkała dotąd mężczyzny, który ofiarowałby jej tyle szczęścia i przy którym czułaby się tak atrakcyjna?

Nie, nie mogła. To ona zainicjowała to zbliżenie. Nie dość, że niemal musiała prosić, aby się z nią kochał, to teraz miałyby go błagać o komplementy, o dobre słowo?

Jego milczeniem też nie zamierzała się przejmować. Wiedziała, że facetom nielato przychodzi rozmowa o uczuciach, a już nienawidzą, gdy kobieta wierci im dziurę w brzuchu, wypytując o ich przeszłość, teraźniejszość czy przyszłość. Po prostu musi uzbroić się w cierpliwość. Rano wszystko się wyjaśni.

Bez dachu nad głową i zasłon w oknach, które nie przepuszczałyby światła dziennego, po raz pierwszy w życiu Sophie obudziła się o świcie.

Leżąc z głową na klatce piersiowej Marka, z zachwytem śledziła, jak promienie słońca nieśmiało przedzierają się przez gałęzie drzew. Niebieskie, czerwone i złote smugi tworzyły fantazyjne wzory. Wschód słońca był piękniejszy niż jakikolwiek zachód.

Wkrótce barwne wzory zaczęły blednąć, a świat pokryła ciepła łagodna jasność. Gwiazdy, które w nocy migotały na niebie, zgasły; wciąż tam tkwiły, ale były niewidoczne.

Odurzona wspomnieniami, Sophie przymknęła powieki. Ciekawa była, czy niezwykła intymność, która połączyła ją i Marka, również zgaśnie za dnia.

Podniosła głowę i popatrzyła na Marka, po czym pocałowała go w ramię. Poruszył się, przewrócił na bok, otworzył oczy i uśmiechnął się szeroko.

- Mmm, wiedziałem, że spodoba mi się budzenie przy tobie. - Przycisnął wargi do jej czoła. - Jak się czujesz?

- Wspaniale.

- Mdłości ci nie dokuczają?

- Nie - odparła zdziwiona. No, proszę. Czyżby minęły? Wzdychając cicho, przytuliła się mocniej. - Gdybyśmy byli na spędzie, co byśmy teraz robili?

Roześmiał się.

- Od dawna bylibyśmy w drodze.

- W takim razie dobrze, że nie jesteśmy na spędzie.

- Bardzo dobrze. - Potarł nosem jej szyję.

- Mogłabym tak leżeć cały dzień. - Gdyby to od niej zależało, mogłaby tu zostać do końca życia.

- Nie mogłabyś. Słońce tak mocno tu grzeje, że najpóźniej o ósmej uciekłabyś do domu.

- Zapomniałam o słońcu.

- O tym nigdy nie wolno zapominać. - Opuszkami palców przejechał wzdłuż jej kręgosłupa. - Dlatego mamy tu w buszu niezłomne zasady. Pierwsza brzmi: nie wolno rano marnować czasu.

- To znaczy... - zaczęła, ale zamknął jej usta pocałunkiem.

Nie zaprotestowała. Wcale nie chciała marnować rano czasu...

Słońce świeciło już całkiem wysoko na niebie, kiedy wsiedli do furgonetki, by wrócić do domu.

Mark zaparkował wóz pod mangowcem, wyjął kluczyk ze stacyjki i obrócił się do Sophie. Serce zabiło jej mocniej.

- Może byś została?

- Została? - powtórzyła niepewnie.

Niczego bardziej nie pragnęła niż zostać tu z tym wspaniałym przystojnym mężczyzną, ale bała się, że może źle zrozumiała jego wypowiedź.

- Dłużej niż dwa tygodnie. - Uśmiechnął się. W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki. - Całkiem się polubiliśmy, prawda?

- Całkiem - przyznała.

- Czy twoje „całkiem” oznacza „tak, zostanę”?

Była tak podniecona, a zarazem wystraszona, że nie mogła oddychać.

- Dłużej niż dwa tygodnie? To znaczy ile? - spytała. Miesiąc? Trzy miesiące? - Musiałabym załatwić zastępstwo w pracy. Poza tym niektóre linie tylko do określonego miesiąca zgadzają się na przewóz ciężarnych kobiet.

- Gdybyś załatwiła zastępstwo, to czy nie mogłabyś tu urodzić dziecka?

Wytrzeszczyła oczy. Uśmiech na twarzy Marka zgasł.

- To zły pomysł?

Sophie potrząsnęła głową.

- Nie, to nie jest zły pomysł.

- Ale bałabyś się, tak?

- Nie. Jill opowiadała mi o waszej opiece medycznej. Wygląda na to, że można całkiem bezpiecznie zachodzić tu w ciążę i rodzić.

Ujął jej dłonie.

- Będę się tobą opiekował. Urzadzimy dom, wybierzemy pokój dla dziecka...

- Jesteś pewien, Mark?

Ze ściśniętym gardłem popatrzył na ich splecione ręce.

- Wiem, że musimy się lepiej poznać. Ale nie proszę cię, żebyś podjęła decyzję na resztę życia. - Podniósł wzrok i uśmiechnął się nerwowo. - Jeżeli nam się nie uda, zawsze będziesz mogła wrócić do Anglii.

Sophie zamyśliła się. Mark zachowuje się bardzo rozsądnie. To, co mówi, jest logiczne: albo im się uda, albo nie, a wtedy ona po prostu wyjedzie. Dlaczego więc czuła się taka spięta? Powinna mieć więcej wiary w siebie, nie bać się porażki.

- Hej, Sophie, co się dzieje? - Zmarszczył czoło.

Uniosła ręce w geście bezradności.

- Jak zwykle szukam dziury w całym. Znajduję problemy tam, gdzie ich nie ma.

- Martwisz się o reakcję rodziców? Chcesz, żebym z nimi porozmawiał?

- Nie. Sama to zrobię. Zadzwonię do nich dziś wieczorem. - Po tych słowach zrobiło się jej lżej na duszy.

Wieczorem w porze kolacji zadzwoniła do Anglii i odetchnęła z ulgą, kiedy na drugim końcu linii usłyszała głos matki.

- Mamo, nastąpiła drobna zmiana planów - rzekła, od razu przechodząc do sedna. Udawała bardziej pewną siebie, niż była. - Postanowiłam tu zostać.

- To miło, kochanie - odparła ostrożnie lady Eliza. - Mówiąc „tu”, masz na myśli Coolabah Waters?

- Tak. Chcemy się z Markiem lepiej poznać.

- Zatem podoba ci się ten młody człowiek?

- Tak.

Sophie zamilkła zdenerwowana. Nie bardzo wiedziała, jak przekazać kolejną wiadomość. Chciałaby, by matka ją uścisnęła, dodała jej otuchy. Jednakże zawsze istniał między nimi dystans; lady Eliza jako rozchwytywana śpiewaczka operowa nigdy nie miała czasu dla swojej najmłodszej córki.

Ze wszystkich swoich trosk i problemów Sophie zwierzała się nie matce, tylko dziadkowi. Z kolei o sprawach sercowych rozmawiała wyłącznie z Emmą.

- Mamo... - Sophie wzięła głęboki oddech. - Jest jeszcze coś, o czym muszę ci powiedzieć.

- Słucham, kochanie.

- Zostaniesz babcią.

- Dobry Boże!

Zapadła długa cisza.

- To się stało w Anglii, mamo. Dlatego tu przyleciałam. Usiłujemy coś ustalić.

- Datę ślubu i plany weselne?

- No, nie. Nie chcemy się śpieszyć z małżeństwem. - Cieszyła się, że Mark nie przysłuchuje się tej rozmowie.

- Ale w ogóle to zamierzacie się pobrać?

- Na razie o tym nie myślimy.

Na drugim końcu linii rozległo się bolesne westchnienie. Sophie przygryzła wargę.

- Nie martw się o mnie, mamo. Wszystko jest w porządku.

- Na pewno? Dobrze się czujesz?

- Tak, przysięgam.

- A Mark dba o ciebie?

- Jest wspaniały.

- Gdybym nie była tak zajęta, przyleciałabym do was w odwiedziny.

- Nie trzeba, mamu. Naprawdę! - Sophie wyobraziła sobie, jak matka wysiada z samolotu w Wandabilli, rozgląda się wkoło, po czym oznajmia stanowczo, że córka ma natychmiast wrócić z nią do Londynu. - Mamusiu, zawiadomisz tatę? Może lepiej, żeby to usłyszał od ciebie.

- Oczywiście, kochanie. Z twoim ojcem zawsze należy wybrać odpowiedni moment, a ja mam wprawę. Zobaczysz, jeszcze się ucieszy, że będzie dziadkiem. - Starsza kobieta zamilkła. - A ty, córeczko? Cieszysz się? Z ciąży?

- Och, tak. Bardzo. Mark również.

Lady Eliza odetchnęła z ulgą.

- To dobrze. Skoro oboje jesteście szczęśliwi, nic innego nie ma znaczenia.

Sophie rozprostowała zaciśniętą pięść. No proszę, a tak się bała tej rozmowy.

Po wczorajszej cudownej nocy pod gwiazdami i dzisiejszych słowach Marka, aby została z nim w Coolabah, miała wrażenie, jakby wstąpiła w nią nowa siła.

Kwiaty? Skąd się wzięły? Mark spojrzał na kuchenny stół. Postanowili tu dziś zjeść kolację; uznali, że w kuchni jest przytulniej.

I było, zwłaszcza ze stojącym w słoiku bukietem czerwonych, fioletowych i żółtych kwiatów. Barwne plamy wyraźnie ożywiły pomieszczenie. Czerwony kolor to... hm, czyżby róża? Dziwne.

Sophie wyjęła z piekarnika zapiekankę.

- To prawdziwe kwiaty? - spytał Mark.

Roześmiała się wesoło, stawiając gorące naczynie na bambusowej podkładce.

- Oczywiście. Powąchaj różę. Pachnie obłędnie.

Schyliwszy się, wciągnął w nozdrza niemal zapomniany zapach z dzieciństwa.

- Skąd ją masz? - Ponownie zbliżył nos do czerwonych płatków. - Chyba nie przyleciała z Anglii?

Odgarniając z twarzy lśniące ciemne loki, Sophie ponownie wybuchnęła śmiechem. Mógłby tak na nią patrzeć aż do śmierci.

- Nie, Mark. - Uniosła z naczynia pokrywę. - Rosła w twoim ogródku.

Potrząsnął z niedowierzaniem głową.

- Nawet nie wiedziałem, że mam ogródek.

- Podejrzewam, że żaden szanujący się ogrodnik by się do niego nie przyznał - powiedziała, nakładając ryż na talerze. - Rosną tam niemal same chwasty. Nie pojmuję, jakim cudem udało się Jill Jackson stworzyć tak wspaniały ogród u siebie.

Zajęli miejsca przy stole.

- Dzięki studniom głębinowym ogrody nie są problemem. Moja matka miała wspaniały na farmie w Wynstead.

Zalała go fala wspomnień. Pamiętał, jak całe dni spędzał z siostrą w ogrodzie: biegali po miękkich zielonych trawnikach, wspinali się na wielki tamaryndowiec, godzinami bawili w chowanego, najchętniej kryjąc się pod krzewami hibiskusa, łapali kijanki w porośniętym liliami stawie.

W domu wszędzie stały kwiaty: na szafce w holu, na kredensie, na stoliku w salonie, na stole w jadalni. Kolorowe bukiety cieszyły oko, stwarzały przyjazny nastrój.

Tak jak ten dzisiejszy bukiet zerwany przez Sophie.

Mark rozejrzał się krytycznie po kuchni. Zdecydowanie należałoby ją odmalować. Jadalnia i sypialnie były w jeszcze gorszym stanie.

- Moja mama dbała nie tylko o ogród, ale również o dom. Lubiła piękno. Mieliśmy ładne meble, na ścianach wisiały obrazy, w oknach zasłony. Byłaby przerażona, gdyby zobaczyła, jak mieszkam.

- A gdzie się podziały te meble i obrazy, kiedy wyprowadziłeś się z Wynstead?

- Moja siostra Tania je wzięła.

- Siostra? - Sophie wytrzeszczyła oczy. - Nie mówiłeś, że masz siostrę.

- Mieszka w Melbourne. Z mężem prawnikiem.

- Często się widujecie?

- Niezbyt. - Wzruszył ramionami. - Oni uwielbiają wielkomiejskie życie. Oboje przepadają za operą. - Bojąc się, czy Sophie nie zatęskni za wielkomiejskim życiem,



szybko zmienił temat. - Chciałbym odnowić dom, wprowadzić parę ulepszeń. Pomożesz mi? Muszę kupić kilka rzeczy. Moglibyśmy je zamówić przez internet.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Kiedy mężczyzna jednym tchem mówi o odnawianiu domu i zakupach, kobieta zawsze czuje miły dreszczyk podniecenia. - Na moment zamilkła. - Przyznam ci się, od pierwszego dnia korci mnie, żeby pomalować na nowo te ściany. Całe życie chciałam być dekoratorką wnętrz.

Uniósł pytająco brwi.

- To dlaczego nią nie zostałeś?

- A dlaczego się czegoś nie robi? Bo człowiekowi brakuje pewności siebie. Bo boi się porażki.

Trudno mu było uwierzyć, że śliczna i błyskotliwa Sophie Felsham może mieć kompleksy. Z drugiej strony dorastanie w rodzinie, której członkowie odnoszą same sukcesy, musiało odcisnąć na niej ślad.

Zachowanie tego dupka Olivera przypuszczalnie też nie pozostało bez wpływu na jej pewność siebie.

- Powiedz, co w pierwszej kolejności powinienem zmienić? Od czego zacząć? - spytał, próbując zająć jej myśli czymś innym.

- Oj, jeszcze pożałujesz tego pytania! - zawołała ze śmiechem, po czym wstała od stołu, chwyciła z kredensu notes i długopis, po czym wróciła na miejsce.

Odsunąwszy na bok talerz, popatrzyła na Marka wyczekująco. Wyglądała tak rozkosznie, że miał ochotę ją pocałować.

- No dobrze. Zdradź mi, proszę, o czym marzysz - rzekła, nieświadoma tego, że marzy o niej, o tym, aby znów wziąć ją w ramiona.

- Hm...

- Twój ulubiony kolor?

Popatrzył w jej oczy.

- Szary.

- Szary? - Skrzywiła się, ale posłusznie zanotowała informację.

- Które pokoje są dla ciebie najważniejsze? W których spędzasz najwięcej czasu?

- W sypialni.

Zarumieniła się.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie - potwierdził. - Jedną trzecią życia spędzam w łóżku.

Zmarszczywszy brwi, ponownie zapisała informację w notesie.

- W porządku. Sypialnia ma pierwszeństwo. Co jeszcze chciałbyś w domu zmienić?

- Chodź, pokażę ci. - Wyciągnął do niej rękę.

- Nie możesz po prostu powiedzieć? Robię notatki...

- Nie, chodź. Aranżacja wnętrza jest sztuką wizualną. Łatwiej ci będzie coś zaprojektować, kiedy zobaczysz, o czym mówię.

Z przesadnym zniecierpliwieniem wzniosła oczy do sufitu i westchnęła głośno.

- No dobrze, dobrze.

Miała swoje podejrzenia, dokąd Mark chce ją zaprowadzić. Podejrzenia zamieniły się w pewność, kiedy skręcił w prawo i ruszył prosto do sypialni.

Z jakiegoś powodu, którego nie rozumiała, poczuła się onieśmielona, kiedy pchnęła drzwi i zaprosił ją do swojego królestwa.

Widziała ten pokój przez moment, pierwszego dnia po przylocie, kiedy szukała łóżka, na którym mogłaby się przespać. Natychmiast dostrzegła tu ogromny potencjał.

Właśnie o takich pokojach marzą projektanci wnętrz: dużych, o wysokim suficie i wielkich witrażowych oknach. Ale urządzenie domu najwyraźniej nie mieściło się na liście priorytetów poprzednich właścicieli. Tak jak wszędzie indziej, tu też ściany miały kolor szarobury. Na drewnianej podłodze leżało ohydne linoleum w szaro-pomarańczowe wzory. Z okiennych framug obłaziła farba i wypadał kit. Łóżko składało się z drewnianej skrzyni i materaca przykrytego białym prześcieradłem i starym zielonym kocem.

Zero romantyzmu.

Nic dziwnego, że od tego pokoju Mark chce zacząć zmiany. Stał z uśmiechem na twarzy i rozglądał się.

- Szary tu nie pasuje - oznajmiła Sophie. I bez szarości dom wyglądał dostatecznie ponuro. - Za oknem rośnie duży mangowiec. Słońce nie wpada do środka. Lepiej pasowałby jakiś ciepły kolor, ale warto by go zrównoważyć bielą lub delikatnym beżem.

Mark skinął głową, ale widząc błysk wesołości w jego oczach, Sophie wcale nie miała pewności, czy jej słucha.

- Hm, ściany bladożółte, może jedna w kolorze bardziej intensywnej żółci, gdzieś niedzie różowe akcenty...

- Różowe akcenty? - spytał z powątpiewającą miną.

- Wiem, że to brzmi mało męsko, ale wierz mi, będzie wyglądało fantastycznie. - Oczami wyobraźni widziała wszystkie proponowane przez siebie zmiany.

Mark wskazał na dwuskrzydłowe drzwi.

- A tu?

Przepuścił ją przodem. Weszła do przyległego, sporo mniejszego pokoju. Był pusty, nie licząc skórzanego siodła na podłodze, paru starych podręczników leżących w rogu i wspartych o ścianę wioseł. Jedna rzecz zachwyciła Sophie: okrągłe okno z widokiem na ogród przed domem.

- Pewnie to pomieszczenie służyło kiedyś za garderobę. - Uśmiechnęła się pod nosem, usiłując sobie wyobrazić Marka, który w garderobie wkłada džinsy, roboczą koszulę i buty do jazdy konnej. Nagle zaświtał jej pewien pomysł. - Ojej...

- Co takiego?

- To idealne miejsce na pokoik dla dziecka. - Wystarczyło zamknąć oczy. Wszystko widziała: miękki dywan na podłodze, białą kołyskę, przewijak, szafkę na talki i olejki, regał pełen pluszowych zwierzków podarowanych przez przyjaciół i rodzinę.

Podniósłszy wzrok, napotkała spojrzenie Marka.

- Też tak uważam - powiedział.

- Naprawdę?

Wierzchem dłoni pogładził ją po policzku, następnie zbliżył usta do jej ucha.

- Wszystko mam przed oczami. W tym pokoju cienkie leciutkie zasłony w oknie, miękki dywan na podłodze i kołyska, w której śpi nasze maleństwo, a w sąsiednim pokoju ty i ja razem w łóżku.

Przebiegł jej po plecach dreszcz.

Z Markiem byłaby szczęśliwa nawet w śpiworze, musiała jednak przyznać, że odmalował bardzo kuszący obraz. Westchnęła cicho. Odnowiona sypialnia, w niej ona, Sophie, z głową na twardym męskim ramieniu, ciała splecione w uścisku, a w pokoju obok ich słodka mała kruszyna o różowych policzkach i ciemnych włoskach...

Ręce Marka, duże, silne, spracowane, zacisnęły się na jej talii, usta zaś leniwie zaczęły wędrować po jej twarzy, zatrzymując się to na czole, to w kąciku oka, to na brodzie. Wszędzie, gdzie przystawały, czuła ognisty żar.

Po chwili ręce zsunęły się z talii na brzuch.

- Będiesz wspaniałą mamą.
- A ty najcudowniejszym ojcem.
- Kiedy poznamy płeć maleństwa?
- Nie wiem. Najwcześniej za kilka tygodni.

Zgarnął ją w ramiona i przytulił mocno.

- Już nie mogę się doczekać, kiedy zostanę tatą. Wiesz, Sophie, coś mi mówi, że stworzymy fajną rodzinę.

Po chwili przeniósł ją do sypialni. Obejmując Marka za szyję, zastanawiała się, czy można czuć się bardziej szczęśliwą niż ona teraz.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jak tylko Jill usłyszała, że Sophie zostaje w Coolabah Waters, natychmiast zaczęła robić plany.

- Uprzedź ją, że szykujemy nalot - poprosiła Marka, kiedy zadzwoniła parę dni później.

- Mam nadzieję, że przyjazny?

- A jak myślisz? - Roześmiała się wesoło. - Oczywiście, że tak. Sue Matthews, Carrie Roper i ja zamierzamy wpaść na lunch. Wszystko przywieziemy, Sophie nie będzie musiała kiwnąć palcem. Stwierdziłyśmy, że czas najwyższy, aby poznała swoje najbliższe sąsiadki.

Mark przekazał wiadomość Sophie.

- Super! - zawołała zachwycona. - Fantastyczny pomysł!

Mark zakrył ręką mikrofon.

- Na pewno czujesz się na siłach? Mogę je umówić na inny dzień. - Kiedy rano się obudził, była potwornie blada. Aż się wystraszył. Wciąż miała oczy podkrążone.

- Nie, Mark. Czuję się świetnie.

Z pewnym wahaniem przekazał Jill wiadomość, że Sophie czeka na ich przyjazd.

- Doskonale - ucieszyła się. - Jak już przyjedziemy, to ty, Mark, bądź tak miły i zajmij się sobą, dobrze? Znajdź jakieś dziurawe ogrodzenie, które mógłbyś naprawić. Bo my, kobiety, potrzebujemy dużo czasu na typowo babskie plotki.

- Bez mężczyzn?

- Bez!

- To niesamowite, że zadają sobie tyle trudu - powiedziała Sophie, kiedy odłożył słuchawkę. - Muszą jechać taki kawał drogi.

- Dla nas przyjaźń jest ważna. - Ujął Sophie pod brodę i popatrzył jej w twarz. Poczul lekki dreszcz trwogi. - Mam nadzieję, że ten lunch za bardzo cię nie zmęczy.

Potrząsnęła głową.

- Skoro przywożą z sobą jedzenie, nie mam nic do roboty. Poza nakryciem do stołu. - Nastawiła wodę na herbatę. - A skoro przyjaźń jest tak ważna, powinniśmy również odnowić jadalnię.

- Słusznie. Powiesz dziewczynom o dziecku?

- Chciałabym. Mogę?

- Jasne. Zresztą wiedząc, że jesteś w ciąży, będą bardziej na ciebie uważać.

- A ja będę miała okazję wypytać je dokładniej o lekarzy i szpital.

Był niespokojny, całując Sophie przed wyruszeniem z domu; trapiło go złe przecucie. Od rana była blada i sprawiała wrażenie zmęczonej. Nie zamierzał odjeżdżać zbyt daleko, ale nie miał żadnego logicznego wytłumaczenia, aby pozostać na miejscu. Z zapakowanym do torby lunchem skierował się do drzwi, zapewniając Sophie, że wróci późnym południem, tak by kobiety miały mnóstwo czasu na pogawędkę.

Mniej więcej o drugiej usłyszał warkot zbliżającego się samolotu. Poderwał głowę. Maszyna zniżyła lot, po czym pilot zamachał skrzydłami, przechylając samolot najpierw w lewo, potem w prawo.

Mark zamarł z trwogi. Rozpoznał samolot lekarza. Samolot nigdy nie latał tak nisko. Przechył w prawo i w lewo oznaczał, że wydarzyło się coś złego.

I Mark natychmiast domyślił się co.

Sophie!

Ignorując bolesny ucisk w brzuchu, porzucił narzędzia i ile sił w nogach popędził do stojącej dwieście metrów dalej furgonetki, Cholera jasna, dlaczego zostawił telefon w aucie? Powinien mieć go przy sobie.

Kiedy gnał przed siebie, wyobraźnia podsuwała mu różne obrazy. Sophie skaleczyła się nożem kuchennym. Ukąsił ją wąż. Albo jadowity pająk. A może się czymś zatrula?

Bo chyba z dzieckiem nie dzieje się nic złego? Dławiący strach pochwycił Marka za gardło. Boże, nie pozwól, aby cokolwiek stało się dziecku!

Drżącą ręką sięgnął po telefon. Nie tracił czasu na odsłuchiwanie wiadomości. Od razu połączył się z Coolabah Waters.

Odebrała Jill Jackson.

- Co się dzieje? - zawołał zdenerwowany. - Czy Sophie...

- Poleciała do szpitala w Mount Isie. Zaczęła mieć skurcze. Nie mogłam się z tobą skontaktować, więc prosiłam pilota, żeby dał ci znak, jeśli cię gdzieś dojrzy.

Mówiła spokojnie, ale go nie oszukała. Była dyplomowaną pielęgniarzką; potrafiła blefować.

- Skurcze? Co to oznacza, Jill? Poronienie?

- Niekoniecznie. Ale zaczęła też krwawić.

Mark jęknął przerażony.

- Już jadę!

Gnał na złamanie karku, klnąc straszliwie przy każdej bramie, którą musiał otworzyć, a potem zamknąć. Przeklinał siebie, że zostawił telefon w furgonetce i że zgodził się wyjechać z domu. Nie powinien był.

Od rana czuł, że coś jest nie tak.

Zdenerwowany krzyknął na Monty'ego, który siedział obok na siedzeniu. Pies zaszkomlał i zeskoczył na podłogę.

Droga powrotna zdawała się ciągnąć bez końca. Wreszcie w chmurze czerwonego pyłu Mark zahamował przed tylną werandą i wyskoczył z wozu.

Jill Jackson zbiegła ze schodków. Ponury wyraz jej twarzy potwierdził jego najgorsze przypuszczenia.

- Nie panikuj, Mark - powiedziała, kładąc chłodną rękę na jego ramieniu.

Nie panikuj? Żołądek podszedł mu do gardła.

- Usiądź. Wyglądasz, jakbyś miał zaraz zemdleć.

Nim zdążył się sprzeciwić, zaprowadziła go do schodów i położywszy ręce na jego ramionach, tak mocno nacisnęła, aż opadł na stopień.

- Nic mi nie jest - zaprotestował. - Nigdy w życiu nie zemdlałem.

Nie słuchając, Jill zmusiła go, aby pochylił nisko głowę i przytrzymała ją w tej pozycji.

- Dobrze was znam. Andrew jest taki sam. Kiedy facet ma do czynienia z innymi facetami albo bydłem, wtedy jest twardzielem. Nic go nie rusza. Ale gdybyś widział przerażoną minę Andrew, kiedy rodziłam, tobyś wiedział, o czym mówię.

- Muszę do niej jechać.

Poderwał głowę. Wszystko zawirowało mu przed oczami. Jill ponownie pchnęła ją w dół.

- Na razie nie możesz prowadzić. Jesteś w szoku. Napijemy się herbatki i wkrótce...

- Na miłość boską! - Poderwał się na nogi. Ponownie zakręciło mu się w głowie, ale jakoś nad tym zapanował. - Nie chcę żadnej herbatki!

Sophie grozi poronienie. Potrzebuje go. Nie powinien tracić czasu...

Podniósłszy wzrok, zobaczył pozostałe dwie kobiety. Sue Matthews i Carrie Roper stały w drzwiach, przyglądając mu się z niepokojem.

- To takie okropne - powiedziała Carrie. - Siedziałyśmy przy stole, rozmawiałyśmy o szpitalach i porodach, kiedy nagle Sophie roześmiała się i trzymając za brzuch, stwierdziła, że zbyt barwnie jej wszystko opisujemy. Nie przyszło nam do głowy, że... - Dostrzegłszy ostrzegawcze spojrzenie Jill, Carrie urwała w pół zdania.

- Dzięki za waszą pomoc - mruknął Mark. - Ruszam.

- Może najpierw wskocz pod prysznic - zasugerowała Sue.

- I włóż coś czystego - dodała Carrie.

Machnął ręką na te sugestie i pobiegł do szopy, w której stał range-rover. Range-roverem szybciej dotrze na miejsce, a w drodze powrotnej Sophie wygodniej będzie się siedziało.

- Ostrożnie, Mark! - zawołała za nim Jill. - Tylko się nie zabij. Pamiętaj, że jesteś Sophie potrzebny.

Do Mount Isy było ponad dwieście kilometrów. Pędził, łamiąc wszelkie ograniczenia prędkości. Chciał jak najszybciej dotrzeć na miejsce.

Starał się nie myśleć o tym, co się dzieje: że może Sophie straciła dziecko. Lub, co gorsza, że może jej życiu zagraża niebezpieczeństwo.

Nie, to niemożliwe. Jest młodą dziewczyną, silną i zdrową.

Gnębiły go wyrzuty sumienia. Powinien był bardziej o nią dbać, kazać jej więcej odpoczywać...

Ale sprawiała wrażenie zdrowej i wesołej.

Nie powinien był się z nią kochać. Powinien pamiętać, że Sophie jest w ciąży i...



Ale tak bardzo tego chciała.

Psiakrew, czuł się taki bezradny. Siedział uwięziony w aucie i dręczony przez własną bujną wyobraźnię, wściekły, że tak wiele kilometrów dzieli go od szpitala.

Zamrugał. Widok przed oczami miał zamazany. Chryste, człowieku, weź się w garść! Nie rozklejaj się! Ale jak w takiej sytuacji zachować spokój? Wolałby stanąć naprzeciwko spłoszonego stada niż zobaczyć cierpiącą Sophie w szpitalnym łóżku.

W rejestracji na dole uzyskał informację, na którym oddziale leży Sophie. Starając się nie zwracać uwagi na lśniące linoleum i unoszący się w powietrzu zapach antyseptyków, wsiadł do windy. Po chwili wysiadł na piętrze i ruszył przed siebie długim korytarzem.

W szklanych drzwiach ujrzał swoje odbicie. Psiakrew, Sue i Carrie miały rację. Powinien był się umyć i przebrać, zamiast w roboczym ubraniu gnać do miasta. Kiedy indziej do głowy by mu nie przyszło, żeby w takim stanie wchodzić między ludzi.

Gdy zatrzymał się przy dyżurce, by spytać o pokój Sophie, pielęgniarka uważnie zmierzyła go wzrokiem. Po raz pierwszy w życiu poczuł, jak zanika jego pewność siebie. Znajdował się w obcym świecie, w którym nie miał nic do powiedzenia.

- Sophie Felsham - powtórzyła pielęgniarka, zaglądając do dokumentów. - Należy pan do rodziny?

- Jestem ojcem dziecka.

Kobieta zacisnęła usta; ponownie zerknęła do papierów.

- Rodzina panny Felsham mieszka w Anglii. - Mark, zniecierpliwiony, podniósł głos. Dlaczego mu nic nie mówi? Nad czym się tak długo zastanawia?

Zazwyczaj niełatwo było wytrącić go z równowagi, ale im dłużej trwała cisza, tym bardziej rósł jego niepokój.

- Proszę mi podać numer jej pokoju! - zażądał, waląc pięścią w blat.

Pielęgniarka łypnęła na niego gniewnie. Odwzajemnił jej groźne spojrzenie.

- Dwadzieścia dwa - oznajmiła wreszcie, jakby chciała się pozbyć intruza.

Mark podziękował uprzejmie, po czym zawahał się.

- Jak ona się czuje?

Przypuszczalnie zobaczyła strach wzierający z jego oczu, bo jej mina złagodniała.

- Proszę spytać siostry Hart - rzekła łagodniejszym tonem.

- Gdzie ją znajdę?

- W tej chwili jest u innej pacjentki.

Przeklinając w duchu, odwrócił się i ruszył na poszukiwanie sali numer dwadzieścia dwa.

Zobaczył Sophie przez otwarte drzwi. Była jedyną osobą w pokoju. Leżała bez ruchu, z przymkniętymi powiekami. Do ręki miała przyklejony kawałek plastra; zapewne wcześniej podawano jej kroplówkę.

Serce mu załomotało. Przystanąwszy, wziął głęboki oddech. Spokojnie...

Nie drgnęła, kiedy wszedł na palcach do środka i przysunął sobie krzesło. Usiadł. Sophie spała. Tego się nie spodziewał. Co to znaczyło? Że bardzo z nią źle?

Gardło miał wyschnięte na wiór. Patrzył na białe prześcieradło, pod którym unosiła się i opadała pierś Sophie, na jej rozrzucone po poduszce lśniące włosy, na długie rzęsy, na delikatne niebieskie żyłki widoczne na powiekach oraz pełne różowe usta. Wyglądała pięknie. I samotnie. Jakby była gdzieś bardzo daleko.

Przeniósł spojrzenie na swoje zakurzone dzinsy i buty. Na nadgarstku zauważył tłustą czarną plamę. Potarł ręką o spodnie, usiłując zetrzeć smar.

Może Sophie wyczuła ruch, bo nagle otworzyła oczy.

- Mark?

Nieudolnie wykrzywił usta w uśmiechu.

- Hej, ślicznotko.

- Długo tu jesteś?

- Pięć minut. - Pochylił się. - Jak się czujesz?

Potrząsnęła głową i przyłożyła dłoń do ust, jakby próbowała powstrzymać ich drzenie. Nie pomogło. Po chwili w jej oczach zakręciły się łzy.

- Kochanie...

Ponownie potrząsnęła głową. Mark zamilkł. Nie wiedział, co powiedzieć, o co spytać. Poglądził ją po ręce, odsunął z czoła kosmyk włosów.

- Boże, umiesz faceta nastraszyć. - Obdarzył ją czułym uśmiechem.

Niewiele to dało. Zaczęła płakać; bez względu na to, jak mocno przyciskała dłoń do ust, nie potrafiła powściągnąć szlochu.

Przerażony, świadom swojego brudnego ubrania, Mark przysunął się, zamierzając pocałować ją w policzek.

Zarzuciła mu rękę na szyję. Jej ciałem wstrząsał gwałtowny szloch.

- Moja mała... Cii, wszystko będzie dobrze.

- S...straciłam dziecko!

Poczuł koszmarny ból, który narastał z sekundy na sekundę. Sophie poroniła! Nie będą mieli dziecka! Z trudem powstrzymał jęk rozpacz. Musi pocieszyć Sophie, starać się ją uspokoić, a nie jeszcze bardziej ją dołować.

Ale dziecko, ich malutka fasolka...

Nagle zaczął się dusić, jakby z pokoju wypompowano całe powietrze. Nakazując sobie spokój, wziął głęboki oddech, jeden, drugi. Cholera, jeśli on odczuwa tak wielką stratę i ból, co czuje biedna Sophie?

Płakała rzewnymi łzami. Nerwowo szukał w myślach słów, którymi mógłby dodać jej otuchy. Żadnych nie znajdował. Kołysząc ją w ramionach, raz po raz całował jej wilgotny policzek.

Wreszcie Sophie przestała szlochać. Pociągnęła głośno nosem.

- Przepraszam, Mark.

- Cii. - Nie powinna go przepraszać; przecież nic nie zrobiła. Podał jej paczkę chusteczek. - Trzymaj.

Oczy i nos miała czerwone od płaczu. Wyjęła z paczki garść chustek, przetarła twarz, wydmuchała nos.

- Mówili ci, co się stało?

- Nie. Wiem tylko od Jill, że miałaś skurcze.

Sophie westchnęła i opadła na poduszkę.

- W szpitalu natychmiast zrobiono mi usg. Okazało się, że dziecko... że płód przestał się rozwijać.

Zacisnęła usta, z trudem hamując płacz.

- Przez cały czas myślałam, że nasza malutka fasolka, że... - Urwała i zamknęła oczy. Przez chwilę oddychała ciężko. - To było tak zwane poronienie nieodwracalne. Lekarz powiedział, że dość często się zdarza. Bez powodu.

Mark pokiwał głową.

- To tyle. Już po wszystkim, Mark.

Ponownie zamknęła oczy. Patrzył na nią w milczeniu, na cienkie niebieskie żyłki widoczne pod skórą powiek i długie rzęsy ocieniające policzki. Szukał słów pocieszenia, ale cokolwiek by powiedział, zabrzmiałoby banalnie.

- Czyli - kontynuowała Sophie, nie otwierając oczu - jest tak jak dawniej. Jakby nic się nie zdarzyło...

- Nie! - zawołał, orientując się, w jakim kierunku podążają jej myśli.

Napotkała jego spojrzenie.

- Tylko ci namieszałam w życiu. Nie powinnam była tu przylatywać.

- Słyszałaś, żebym narzekał?

- Nie. - Położyła dłoń na jego ramieniu. - Porządny z ciebie człowiek.

- Porządny człowiek? - oburzył się. Tak ludzie stojący nad grobem mówią o zmarłym, gdy się z nim żegnają.

Z oczu Sophie bił intensywny żar.

- Wracaj do Coolabah Waters, Mark. Wracaj do swojego życia.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Uff, nareszcie. Wyrzuciła z siebie te straszne słowa. Zwróciła Markowi wolność.

Została z uczuciem przeogromnej pustki. Jeszcze nigdy nie była w takim dołku, ale nie miała wyboru; musiała stawić czoło najtrudniejszemu wyzwaniu, z jakim kiedykolwiek przyszło się jej zmierzyć.

Od chwili pierwszych bolesnych skurczy wiedziała, że straci ciążę. I że również straci Marka. Miała mnóstwo czasu, aby wszystko sobie przemyśleć: w samolocie, kiedy leciała do Mount Isy, oraz w szpitalu, kiedy lekarze ją badali, a jej łzy ciekły po policzkach.

Później marzyła tylko o jednym: żeby zwinąć się w kłębek, pogрузić w rozpacz, skupić na sobie, swoim nieszczęściu, i przeczekać hormonalną nawałnicę. Ale odkryła, że miłość nie pozwala na egoizm. Zaczęła myśleć o Marku.

Biedny facet. Żył sobie spokojnie, a nagle ona przyleciała do Australii i wywróciła jego świat do góry nogami. Odciągała go od pracy, chciała, żeby poświęcał jej jak najwięcej czasu. Była taka samolubna, nawet kiedy się kochali. Och, nigdy, przenigdy tego nie zapomni! Tak, nawet w sprawach seksu zachowała się jak egoistka. Najpierw trzymała Marka na dystans, tłumaczyła mu, że seks jeszcze bardziej wszystko skomplikuje, a potem jakby nigdy nic wskoczyła mu do śpiwora.

Zbyt długo była skupiona na własnych problemach, za bardzo się bała kolejnego niepowodzenia. Ale najwyższy czas, by wreszcie dorosła.

Od początku zdawała sobie sprawę, że jako kulturalny, dobrze wychowany człowiek Mark nie wskaże jej drzwi. W dodatku Tim, Emma, a także jej, Sophie, matka jasno dawali mu do zrozumienia, czego od niego oczekują: że postąpi właściwie i uratuje Sophie przed następną porażką.

Lecz ona znów się nie spisała. Dostała od życia bolesną nauczkę. Straciła dziecko, jedyne, co łączyło ją z Markiem. Po tych wszystkich kłopotach, jakie zwała mu na głowę, teraz musi się wycofać, pozwolić mu żyć dalej.

Nie miała wyboru. Nie może go na siłę przy sobie zatrzymać. Musi przekonująco odegrać swoją rolę i zwolnić go z poczucia wszelkiej odpowiedzialności.

Wyglądał koszmarnie. Pod opalenizną był blady jak ściana, a w jego oczach malował się szok i niedowierzenie.

Milczał. Nie patrzył na nią; patrzył w podłogę.

Nie rób tego, Mark, błagała go w myślach. Nie utrudniaj mi pożegnania.

Wreszcie podniósł wzrok.

- Chcesz wrócić do Anglii?

- Tak - oznajmiła stanowczym tonem.

- Ale najpierw pojedziesz ze mną na farmę? Bądź dzielna, Sophie! Nie rozklej się.

- Nie, Mark, nie ma powodu.

- A więc kiedy cię stąd wypiszą, zamierzasz udać się prosto na lotnisko?

- Uhm. Chociaż nie - dodała po chwili. - Najpierw muszę się zorientować, kiedy są loty.

Zacisnął usta i ponownie utkwiał spojrzenie w podłogę.

- Niestety zostawiłam u ciebie swoje rzeczy. Czy mógłbyś je spakować i mi przysłać?

- Pojadę i sam ci wszystko przywiozę - mruknął posępnie.

- To kawał drogi.

- Jestem przyzwyczajony do tutejszych odległości - rzekł, zgrzytając zębami.

Miała wyrzuty sumienia, że przez nią będzie jechał po nocy tyle kilometrów. Łzy podeszły jej do gardła, ale je przełknęła. Jeżeli wybuchnie płaczem, Mark domyśli się, że go okłamuje; że wcale nie chce wracać do Anglii. Zresztą już dość wylała łez.

- Naprawdę uważasz, że możemy się tak podroztu rozstać? - spytał. - Jak wtedy w Anglii, nazajutrz po weselu? - Głos miał twardy, zimny, jakby każde słowo wykute było z bryły lodu.

Bała się odezwać, więc w milczeniu skinęła głową. Pochylił się nad łóżkiem. W jego głosie pobrzmiwała gorycz.

- Mamy się pożegnać jak dwoje obcych ludzi? Jakby nic ważnego nas nie połączyło?

Ważnego? Ciekawe, co miał na myśli? Seks czy coś więcej? Zacisnął rękę na jej ramieniu.

- Powiedz, że nie mówisz tego poważnie - zażądał gniewnie. - Wszystko w porządku, Sophie?

Ponad ramieniem Marka Sophie zobaczyła surową twarz siostry oddziałowej.

- Tak, wszystko w porządku. Dziękuję - powiedziała drżącym głosem.

Wyciągnęła spod poduszki zmięte chustki do nosa i przetarła twarz.

Oddziałowa posłała Markowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Zakłóca pan pacjentce spokój. Muszę pana poprosić o opuszczenie sali.

- Nie, on mi nic nie zakłóca - zaproponowała Sophie.

- Mimo wszystko proszę wyjść na zewnątrz. Chciałabym zmierzyć pacjentce ciśnienie...

Krążąc po korytarzu, Mark zastanawiał się, co z nim jest nie tak. Był wolnym człowiekiem, mógł wracać do domu, ale coś go powstrzymywało. Dlaczego czuł się tak paskudnie? Na jego miejscu większość facetów odetchnęłaby z ulgą.

Sophie Felsham nie urodzi jego dziecka, nie zamieszka w Coolabah Waters. On zaś nie będzie ojcem. Na swoich barkach już nie dźwiga ciężaru odpowiedzialności; może ożenić się z każdą dziewczyną, która mu się spodoba.

Powinien się cieszyć, prawda? Los się do niego... do nich uśmiechnął. Tysiącom australijskich kobiet łatwiej byłoby przystosować się do życia na farmie niż Sophie. A zatem opatrność nad nimi czuwała; uchroniła ich oboje przed popełnieniem tragicznego błędu.

Jeżeli tak, to dlaczego - do cholery - nie czuje ulgi?

Przenikliwe klucie w brzuchu, ból w sercu - to wszystko nie ma sensu. Gdzie radość, gdzie nadzieja na lepszą przyszłość?

Wetknąwszy ręce do kieszeni, doszedł do końca korytarza i wyjrzał przez okno na parking. Zachodzące słońce odbijało się w szybie wozu.

Nagle uświadomił sobie prawdę. Nie chce żadnej Australijki. Chce wyłącznie Sophie.

Przeklęty los! Czy musiał interweniować? Znów byli mężczyzną i kobietą, a nie parą, która spodziewa się dziecka. On, Mark Winchester, nie będzie miał syna, przyszłe-

go spadkobiercy. Nie będzie miał córki. Nikt mu nie udekoruje sypialni, nie urządzi pokoju dziecięcego.

Obróciwszy się od okna, popatrzył na długi biały korytarz. Sophie jasno dała mu do zrozumienia, że nic do niego nie czuje. Jej decyzja o powrocie do Anglii zabolęła go. Dlaczego chciała wracać? Przecież dobrze się tu czuła, powoli się adaptowała do życia na australijskim pustkowiu.

Poza tym wiele razy widział, jak mu się przygląda. Jakby darzyła go sympatią. Jakby autentycznie jej na nim zależało. A kiedy się kochali... nie, takiego uczucia, takiej namiętności nie sposób było udawać.

Psiakrew, wszystko wskazywało na to, że byliby razem bardzo szczęśliwi.

Oszukujesz się, stary. Gdyby Sophie chciała z tobą zostać, powiedziałyby to wprost. Ona marzy o powrocie do Londynu.

Zwinął dłoń w pięść. Miał ochotę w coś walnąć, coś roztrzaskać. Jeżeli Sophie naprawdę tęskni za domem w Anglii, nie miał prawa jej tu zatrzymywać. Sam jej powiedział, że jeśli im nie wyjdzie, zawsze będzie mogła wrócić. No i nie wyszło.

Koniec opowieści.

Ona jest córką sir Kennetha i lady Elizy. Jej miejsce jest w Londynie. Z rodzicami, z Emmą i Timem. A co z nim? Ma ją puścić?

Nie, nie może. Nie potrafi.

Nie wierzył, że Sophie naprawdę chce od niego odejść. Po tym wszystkim, co przeżyli? Nie miałyby to najmniejszego sensu. Musi z nią porozmawiać, zyskać pewność.

Coraz szybszym krokiem, z coraz większą nadzieją w sercu, maszerował korytarzem.

W drzwiach sali napotkał oddziałową.

- Dałam Sophie środek uspokajający - rzekła kobieta, mierząc Marka przenikliwym wzrokiem. - Lepiej jej nie przeszkadzać. Powinna dużo odpoczywać.

- Tylko się pożegnam.



Wszedł do środka. Sophie leżała na boku, tyłem do drzwi. Nie drgnęła, kiedy pochylił się nad łóżkiem. Oczy miała zamknięte, powieki czerwone; w skrzyżowanych na piersi rękach ścisnęła zwitek mokrych chusteczek do nosa.

Wyglądała tak, jakby się modliła. Jedno nie ulegało wątpliwości: nie czekała na żadne słowa otuchy.

Z samochodu zadzwonił do Jill.

- To straszne, Mark. Biedna Sophie. I biedny ty.

- No właśnie, kto by się spodziewał? Cóż...

- Takie rzeczy się zdarzają, i to częściej, niż ci się wydaje. Ale jestem pewna, że kolejne cięższe Sophie dobrze się zakończą.

- No tak... - Odchrząknął.

- Mimo to wyobrażam sobie waszą rozpacz. Zwłaszcza dla kobiety to okropna tragedia.

- Cieszę się, że byłeś na miejscu i mogłeś jej pomóc.

- Ja też. Słuchaj, czy niczego Sophie w szpitalu nie brakuje? Spakowałam jej małą podręczną torbę, ale...

- Wszystko jej dowiozę. Nie chce mi się zostawać tu na noc, więc zjem po drodze hamburgera i będę w domu około dziesiątej.

- Wracasz? Dziś?

Jill nie kryła zdziwienia, Mark jednak szybko zakończył rozmowę i rozłączył się. Nie potrafił zdobyć się na to, by wyjawic Jill plany Sophie. Sam wciąż nie mógł w nie uwierzyć.

Natychmiast po powrocie przystąpił do pakowania. Padał na nos ze zmęczenia, ale był zbyt spięty, by zasnąć, udał się więc do pokoju gościnnego, wyciągnął spod łóżka walizkę i zaczął układać w niej rzeczy.

Pracował w skupieniu. Pilnował się, żeby buty i ciężkie ubrania jak sweter czy dzinsy położyć na spodzie. Otworzył szufladę, w której Sophie trzymała bieliznę. Uderzył go w nozdrza kwiatowy zapach. Ręce mu się trzęsły, kiedy wkładał do walizki jedwabne figi, koronkowe staniki, bawełnianą koszulę nocną. Każda rzecz przywoływała wspomnienia.

Na stoliku w rogu pokoju znalazł kilka wyrwanych z notesu kartek. Na jednej zobaczył wykonany długopisem szkic sypialni, a obok uwagi na temat mebli, koloru ścian, rodzaju obić, dywanów. Na drugiej - rysunek pokoju dziecięcego. W pokoju dziecięcym Sophie umieściła staromodną drewnianą kołyskę, kolorową kołderkę robioną metodą patchworkową, dywanik, fotel na biegunach, regalik, półki na pluszowe zabawki. W ścianie zaznaczyła okrągłe okno. Wpatrując się w te rysunki, miał ochotę rzucić się na podłogę i rozpłakać.

Stracili dziecko. Wkrótce Sophie wyjedzie. Straci ją, straci wszystko.

Z jękiem rozpaczony cisnął kartki na wierzch starannie złożonych ubrań i wybiegł z pokoju. Wiedział jednak, że w swojej sypialni, w której spędził z Sophie kilka upojnych nocy, też nie znajdzie ukojenia.

Wyciągnął z szafy koc i poduszkę. Przenocuje dziś na sofie w salonie.

Zdejmował buty, kiedy zadzwonił telefon. Niemal się o nie przewrócił, śpiesząc się do aparatu.

Boże, spraw, żeby to była Sophie! - modlił się w duchu.

- Halo? Mark?

Powściągnął jęk. Akcent angielski, lecz głos nie należał do Sophie. Należał do jej matki.

- Dobry wieczór, lady Elizo.

- Przepraszam, że dzwonię tak późno. Próbowałam wcześniej, ale nikogo nie było w domu.

- Nic nie szkodzi. Jeszcze nie spałem. - Wziął głęboki oddech. - Ale Sophie nie ma w domu. Ona...

Psiakrew. Był bliski załamania. Potarł palcem nos, walcząc o zachowanie nad sobą kontroli.

- Ona jest w szpitalu. Miała poronienie.

- O Boże...

- Wszystko w porządku. Po prostu dla bezpieczeństwa zatrzymano ją na noc.

- Moja biedna córeczka. Czuję, że coś jest nie tak. Dlatego od paru godzin próbuję się dodzwonić.

Mark milczał.

- Tak mi przykro, Mark. Kiedy Sophie powiedziała mi o ciąży, była taka szczęśliwa. Powiedziała, że ty też się cieszysz.

- Bardzo się cieszyłem. - Westchnął ciężko, po czym oparł się o ścianę. - Lekarze stwierdzili, że płód przestał się rozwijać. Dlatego doszło do poronienia.

- Rozumiem. Niestety, takie rzeczy się zdarzają. Mimo to człowiek cierpi. Biedna Sophie. Będzie potrzebowała troskliwej opieki, kiedy wróci do domu.

Z trudem przełknął ślinę.

- Ona tu nie wróci.

- Słucham?

- Zamierza wrócić do Londynu.

Zapadła cisza. Mark przymknął powieki.

- Wprawdzie to nie moja sprawa - rzekła po dłuższej chwili lady Eliza - ale czy wyjazd Sophie byłby po twojej myśli?

Gardło miał ściśnięte, nie był w stanie mówić.

- Znam moją córkę. Jest impulsywna, niekiedy reaguje zbyt emocjonalnie.

- Wiem.

- Jesteś przybity, prawda?

- To najgorszy dzień w moim życiu.

- Chcesz pogadać? Może poczujesz się lepiej?

- Wątpię.

Ale wiedział, że przyjmie zaoferowaną pomoc. Od lady Elizy biły ciepło i serdeczność. Mark osunął się na podłogę, oparł plecami o ścianę.

- No dobrze - powiedział. Łzy zapiekły go w oczy. - Proszę mi doradzić: co powinienem zrobić?

Podczas porannego obchodu lekarz uśmiechnął się przyjaźnie.

- Proszę pamiętać, absolutnie nic pani nie dolega. Następną ciążę donosi pani do końca i urodzi piękne zdrowe dziecko. I mam dla pani jeszcze jedną dobrą wiadomość: może pani zaraz wracać do domu.

Do domu. Sophie natychmiast zobaczyła Coolabah Waters. Po chwili się zreflektowała. Nie, Coolabah Waters to dom Marka. Jej dom to mieszkanie w Londynie. Przywoławszy je w myślach, czekała, aż poczuje leciutkie ukłucie tęsknoty. Nie poczuła.

Pocieszała się, że ponury nastrój minie. Na pewno widok mamy oraz Emmy, a także własnych czterech ścian, sprawi jej wielką radość.

I może wtedy zdoła wyrzucić ze swoich myśli obraz wysokiego przystojnego kowboja, rozległych brunatnych pól i parterowego domu z metalowym dachem. Z czasem wspomnienia o Marku Winchesterze i Coolabah Waters zbledną, rozplyną się.

Rozplyną? Dziewczyno, kogo próbujesz oszukać? Naprawdę sądzisz, że zdołasz zapomnieć o Marku?

Wiedziała, że nigdy go nie zapomni, nigdy nie przestanie za nim tęsknić. Zakochała się. Straciła dla niego głowę. Mimo że mieszka na australijskim pustkowiu.

Właściwie pustkowie też już pokochała. Było przecież nieodzowną częścią Marka. Czyli kocha mężczyznę, kocha jego farmę i jego kraj.

Wrzucając swoje rzeczy do podręcznej torby, zastanawiała się, czy istnieje słowo adekwatnie oddające jej stan psychiczny. Przyłożyła rękę do brzucha - płaskiego, pustego brzucha, w którym jeszcze niedawno rozwijało się życie. Kolana się pod nią ugięły; by nie upaść, przysiadła na brzegu łóżka. Jeszcze trudniej niż z poronieniem było jej się pogodzić z utratą Marka. Wiedziała, że gdyby nie dziecko, nie zaproponowałby jej pozostania na farmie.

W łóżku, kiedy się kochali, szeptał jej do ucha czułe słówka, a ją raz po raz przesywał dreszcz. Ale nigdy nie powtórzył tych słówek poza łóżkiem, w blasku dnia.

Nie ma sensu się oszukiwać. Serce o mało jej wczoraj nie pękło, kiedy podejmowała decyzję o powrocie do Anglii. Ale nie miała cienia wątpliwości, że to słuszna decyzja. Teraz musi jak najszybciej opuścić Australię.

Był w połowie drogi między Mount Isą a Coolabah Waters, kiedy zadzwonił telefon.

- Mark, tu Sophie. Jak dobrze, że cię złapałam.

Ciarki przeszły mu po plecach.

- Gdzie jesteś? Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale powiedziano mi, że już opuściłaś szpital.

- Tak, stwierdzili, że jestem zdrowa jak ryba. Siedzę w kawiarni w centrum miasteczka. A ty gdzie jesteś?

- Godzinę drogi od Mount Isy. Spakowałem twoje rzeczy; mam je z sobą.

- Kochany jesteś, dziękuję. - Na moment zamilkła. - Zarezerwowałam bilet powrotny.

Zaklął pod nosem. Miał nadzieję, że Sophie nie słyszała.

- Na kiedy? - spytał.

- O dwunastej lecę do Sydney.

- O dwunastej? - Tak mocno zacisnął ręce na kierownicy, że kłykcie mu zbieleły. - Skąd ten pośpiech?

- Zostanę w Sydney dwa dni - rzekła, unikając odpowiedzi na pytanie. - A w piątek wrócę do Anglii.

- Czy to nie za szybko? Nie powinnaś zostać dłużej, odpocząć po... po tym wszystkim?

- Nie, to najlepsze rozwiązanie.

Najlepsze? Ona chyba nie mówi serio! Nie wyobrażał sobie gorszego scenariusza. Ale nie ma sensu się z nią kłócić na odległość.

- Postaram się dojechać przed twoim wylotem.

- Dobrze. Słuchaj, płacę za kawę i powoli ruszam na lotnisko. Spotkamy się tam mniej więcej za godzinę, tak?

- Poczekaj! - zawołał. - Musimy porozmawiać. To ważne...

Ale Sophie już się rozłączyła.

Stała przed lustrem w damskiej toalecie ubrana w rzeczy, które Jill spakowała jej do torby podręcznej: fioletową koszulkę i krótką dżinsową spódnicę. Jednakże w ostrym blasku umocowanej na suficie świetlówki wyglądała jak konająca bohaterka jednej z oper, w których tak chętnie występuje jej matka.

Na samą myśl o matce łzy napłynęły jej do oczu. Chciała do niej wczoraj zadzwonić, ale stchórzyła; nie miała odwagi się przyznać, że poniosła kolejną porażkę.

Rozprowadziła odrobinę korektora pod oczami, w policzki wtarła trochę różu, na usta dała błyszczczyk, następnie poprawiła ręką włosy, usiłując nadać lokom puszystości.

Odsunawszy się o krok, uśmiechnęła się do swojego odbicia. A raczej wykrzywiła usta. No, Sophie, powiedziała sama do siebie, jeszcze raz, i tym razem się postaraj.

Wzięła głęboki oddech i spróbowała ponownie. O Chryste! Wyglądała jak klaun o przeraźliwie smutnym spojrzeniu i przylepionym do ust sztucznym uśmiechu.

Usiłowała przywołać w myślach Marka, który wpada zziębiony na lotnisko. Po chwili błogi uśmiech rozświetlił jej twarz. Wszystko było dobrze do momentu pożegnania. Wtedy twarz w lustrze zasepiła się, uśmiech zgasł, oczy stały się wilgotne.

Nie! Nie będzie dziś płakała. Pożegna się z Markiem, nie roniąc ani jednej łzy.

Wyszędłszy z toalety, skierowała się do sklepiku. Była zbyt podminowana, żeby pić kolejną kawę, kupiła więc butelkę wody i czasopismo, po czym znalazła wygodne miejsce do siedzenia i zabrała się do lektury.

Nie była w stanie czytać. Pismo zawierało mnóstwo plotek o znanych ludziach i ich problemach osobistych. Co ją obchodzą czyjeś kłopoty sercowe? Przeskoczyła do krzyżówki. Pierwsze odpowiedzi były dziecinnie proste; wpisała je w odpowiednie rubryki.

O, tak jest znacznie lepiej. Jeśli się skupi na krzyżówce, może zdoła wtedy zapomnieć o...

Długopis wypadł jej z ręki, kiedy w polu widzenia ujrzała parę męskich nóg w dżinsach i skórzanych butach.

Poderwała głowę. Naprzeciw niej stał Mark w białej koszuli, która podkreślała jego opaleniznę. Żaden gwiazdor filmowy nie dorastał mu do pięt. Serce zabiło jej mocniej.

Po chwili napotkała jego spojrzenie, z którego wycierał przeraźliwy smutek.

- Zdażyłeś - powiedziała, siląc się na uśmiech.

Mark postawił walizkę na podłodze. Z leżącej na sąsiednim fotelu torebki Sophie wyjęła paszport.

- Pójdę nadać bagaż...

Nogi miała jak z waty. Zachwiała się. Mark natychmiast znalazł się u jej boku i przytrzymał ją za łokieć.

- Sophie, to szaleństwo. Jesteś zbyt słaba, żeby ruszać w tak daleką podróż.

Wyprostowała dumnie ramiona i rozciągnęła usta w uśmiechu. Starła się zignorować żar, który bił od ręki Marka.

- Och, nic mi nie będzie. Poza tym w Sydney czekają mnie jeszcze dwie noce.

Obrócił ją twarzą do siebie. Oczy mu płonęły.

- Możesz mi przysiąc, że tego chcesz? Wrócić do Anglii?

- Oczywiście, że tak! - zawołała zaskoczona.

- Jeżeli masz choć cień wątpliwości, powiedz.

Pomachała mu przed twarzą paszportem.

- Nie ma powodu, żebym tu dłużej tkwiła. Sam o tym wiesz.

- Nie wygaduj bzdur! - zdenerwował się, ściskając ją mocniej za ramię.

Przełknęła ślinę. Z trudem oddychała. Oczy się jej zaszklily.

- Naprawdę zdołasz wsiąść do samolotu i odlecieć? Nie będzie ci żal?

Zamrugła, usiłując powściągnąć łzy. Mark przyglądał się jej z kamienną miną. Tylko oczy mu płonęły.

- Bo ja nie wyobrażam sobie życia bez ciebie - rzekł cicho.

- Ale już nie jestem w ciąży...

- Wiem i bardzo mi przykro. - Opuścił wolno rękę. - Podobnie jak tobie, trudno mi się pogodzić ze stratą naszego dziecka.

Łzy, z którymi walczyła, zawisły jej na rzęsach.

- Posłuchaj. Teraz chodzi wyłącznie o nas dwoje. O ciebie i o mnie. Jedno wiem na pewno. Nie mogę pozwolić, żebyś weszła na pokład samolotu, bo wtedy znikniesz mi na zawsze. A ja... nie mogę cię stracić.

Przyglądała mu się uważnie. Widziała, że Mark mówi prawdę.

- Sophie, co mam zrobić, żebyś została? - Uśmiechnął się nieporadnie. - Jestem gotów paść przed tobą na kolana...

Nie wierzyła własnym uszom. Każde słowo, które wypowiadał, było niczym balsam na jej zbolełą duszę.

- Kocham cię - kontynuował Mark. - Jak cię przekonać, żebyś nie wyjeżdżała?

- Och, Mark. - Wzruszona, uśmiechając się od ucha do ucha, wyciągnęła do niego rękę.

- Mówię serio, Sophie. Kocham cię. Wiem, że był taki jeden, który wyznał ci miłość, a potem zachował się jak cham. Ale ja cię nie skrzywdzę, nigdy nie przestanę cię kochać. Uwierz mi, proszę.

- Wierzę, Mark. I aż mi się kręci w głowie.

- Tak bardzo cię kocham. Nie chcę żyć bez ciebie.

Uniosła jego dłoń do swojego policzka i przymknęła oczy.

- Wiem, że dużo od ciebie wymagam. W Coolabah Waters nie ma luksusów, farma jest...

- Ależ ja nie chcę żadnych luksusów - przerwała mu Sophie. - Coraz bardziej podoba mi się to twoje odludzie. Chyba bardziej niż Londyn, za którym wcale nie tęsknię.

Nie zwracając uwagi na gromadzących się podróżnych, Mark zgarnął ją w ramiona i pocałował w usta. Następnie przysuwając twarz do jej ucha, kontynuował szeptem:

- Zakochałem się w tobie już pierwszego dnia, a potem to uczucie rosło. Gdyby ktoś mi powiedział, że w ciągu dwóch tygodni stracę głowę dla kobiety, nigdy bym w to nie uwierzył.

- Ja też nie. A straciłam dla ciebie.

- Jeżeli zostaniesz ze mną, uczynię wszystko, żebyś była najszczęśliwszą kobietą na ziemi.

Wspiąwszy się na palce, przywarła ustami do jego ust.

- Kocham cię, Mark. - A po chwili: - Jeźdźmy do domu.

Na parkingu przypomnieli sobie o walizce pozostawionej na środku lotniska. Śmiejąc się, zawrócili po nią.

- Jeszcze jedno sobie przypomniałem - powiedział Mark, zatrzasnąwszy kłapkę bagażnika. - Wczoraj wieczorem dzwoniła twoja mama.

- Tak? Co chciała?



- Martwiła się o ciebie. Miała przeczucie, że coś złego się dzieje. Powiedziałem jej o poronieniu. Bardzo się przejęła. Odbyliśmy długą rozmowę i w końcu zaprosiłem ją tu z wizytą.

Sophie pokręciła głową.

- Nie przyjedzie. Zawsze jest taka zajęta.

- Mylisz się. Wprawdzie trwa sezon operowy, ale powiedziała, że jej dublerka będzie zachwycona, mogąc ją zastąpić w kilku przedstawieniach.

- O rany! - Sophie ucieszyła się, że matka gotowa jest lecieć taki kawał drogi, by się z nią zobaczyć. Nagle zreflektowała się. - Ale jak mogłeś ją zaprosić, skoro nie wiedziałeś, czy tu zostanę?

- Po prostu... - Mark wzruszył ramionami. Po jego twarzy przemknął nieśmiały uśmiech - nie dopuszczałem myśli, że wyjedziesz.

Roześmiała się wesoło.

- Zjawi się za dwa dni. Miło by było, gdyby pomogła nam zaplanować ślub i wesele.

Sophie rzuciła się Markowi na szyję. Łzy szczęścia popłynęły jej po policzkach.

- Och, Mark, to cudowny pomysł! Dziękuję!

Kiedy przypięci pasami siedzieli w range-roverze, Sophie też sobie coś przypomniała.

- Wiesz, co powiedział lekarz? Że za miesiąc lub dwa możemy znów zacząć starania o dziecko.

- Postaramy się o tuzin.

- Pierwszemu chciałabym dać na imię Jack.

- Jack Winchester? - Uśmiechając się szeroko, Mark wsunął kluczyk do stacyjki. - Podoba mi się. A o Jane co sądzisz?

- Jestem za. Może być Jack albo Jane.

- A jeszcze lepiej parka: Jack i Jane - oznajmił, zapalając silnik i ruszając w stronę domu.

